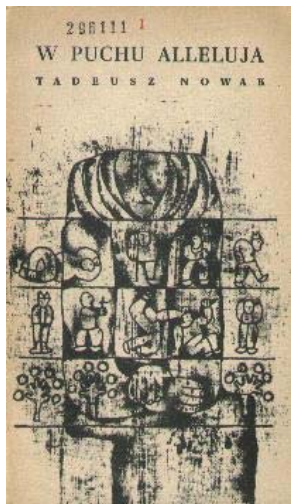


Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉



Tadeusz Nowak

W puchu alleluja

Warszawa 1965

Opracowanie graficzne: Antoni Boratyński
Nakład: 10 000+290 egz.

Oto kompletny spis treści tego tomu:

- [Podróż do miejsca urodzenia](#)
- [Latarnia](#)
- [Muzykant](#)
- [Osilek](#)
- [Sad](#)
- [Czytanie z oczu](#)
- [Odwiedziny](#)
- [Narodziny](#)

Podróż do miejsca urodzenia

1

Już jutro raniutko będę mógł tam iść. Wprost ze stodoły, z czerwcowego siana, zwiezonego razem z dymem wiosennych burz, z piżmem po wypłoszonych zwierzętach, wyjdę pod sad i po zastodolu wejdę w pola, w kukurydzę, w tytoń, w mak siany na wywar dla niemowląt i nadzienie weselných placzków. Wszystko mam przygotowane. W tobołku z parcianego worka są wszystkie drobne kamienie, które od dziecka zbierałem nad rzeką. Jest ich spora garść. A każdy jest inny. Najwięcej jest takich, które urodziły się dawno temu, bo w ich wnętrzu zaledwie się iskrzy blaszka miki i ziarenko krzemienia. Niektóre z nich nie mają nawet tej blaszki i tego ziarenka. Widocznie ktoś przede mną skrzesał z nich płomyk, zażegł ognisko, upiekł nad nim ustrzelonego z procy ptaka, a kamień, już zbyteczny, odrzucił za

siebie na szczęście. Ale wśród moich kamieni są również takie, które mogą sypnąć iskrę na niejedną hubkę. One też są mi szczególnie miłe. Leżą wprawdzie z tamtymi, już bez iskry, kamieniami, ale są zawinięte, każdy z osobna, w pasmo międlonych konopi.

Tuż nad kamieniami, jako że istotą nawet najdrobniejszych kamieni jest tworzenie opoki, leży zawinięta w kawałek surowej skóry Biblia. Właściwie gdybym się do niej tak nie przywiązał, nie powinienem o niej wspominać, a to dlatego, że kilka lat temu ukradłem ją kościelnemu. Zrobiłem to z psoty, a kościelny po jej stracie w każde większe święto, a zwłaszcza w odpust, wchodził na dzwonnice, śpiewał psalmy i był patriarchą, do którego schodziły się wszystkie dzieci i wszystkie zwierzęta, i równocześnie był prorokiem, od którego uciekali dorośli, bo nieomylnie przepowiadał plagę szczurów i plagę deszczu. Nie mogłem mu jednak zwrócić Biblii, bo już po kilku dniach, w czasie których czytałem ją zagrzebany w dworskim stogu, znalazłem w niej to miejsce, do którego jutro raniutko będę mógł iść.

Oprócz kamieni i Biblii miałem również w parcianym worku rzeczy zwykłe: kielnię, poziomcę, pion. Zabrałem je nie dlatego, żebym się wybierał na zarobek. Po prostu nie mogłem się z nimi rozstać, jako że przy ich pomocy ze wszystkich kurnych domów w naszej wsi wyprowadziłem kominy. Jedzenia natomiast prawie nie zabierałem. Z wyjątkiem dużego glonka chleba, czosnku i cebuli. W osobnym woreczku miałem również sporo złotych renet. Nie dla siebie je zabrałem. Chciałem je rzucać po jednej spotykanym dzieciom. Nie miałem natomiast nic na obronę przed zwierzem i złym człowiekiem. Bo nie można przecież do obronnych narzędzi zaliczyć składanego scyzoryka o drewnianym trzonku. Naczyń do czerpania wody i warzenia strawy nie zabierałem. Wody w każdej chwili mogłem się napić wprost z rzeki. Gotować nie zamierzałem. Obiecałem sobie, że będę się żywił owocami i korzonkami roślin.

2

Gdy nazajutrz wyszedłem z rozgrzanego siana, na niebie rozciągniętym nad sadem pasły się jeszcze zwierzęta. Wprawdzie niemal codziennie, kiedy wstawałem do dnia, widywałem małe grupki tych zwierząt pasących się na niebiosach, ale widocznie dopiero dzisiaj wstałem o najważniejszej porze, bo widziałem je rozsypane ogromnym stadem aż po widnokrę. Zdziwiło mnie to, że były to wyłącznie zwierzęta płowe. Początkowo sądziłem, że się mylę, ponieważ jutrznia świecąca przez opłotki i słomiane szopy była również płowa. Ale gdy stałem dłużej z głową podniesioną na niebiosa, nie spostrzegłem wśród tej zwierzyny ani jednego wilka, żbika, lisa czy choćby domowego kundla. Najwięcej i najokazalszych zwierząt pasło się pośrodku niebios tuż nad sadami i ogrodami naszej wsi. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego w sierpniu, a czasem już wcześniej, tak obficie sypały się w nasze sady owoce, a w ogrody, zasadzone kukurydzą, tytoniem i makiem, opuszczały się na zielonych sznurach i błękitnych tętnicach dynie,

słoneczniki, cebula i czosnek.

I już nie bardzo chciało mi się iść na tę pielgrzymkę. Odłożyłem parciany tobołek, zzułem juchtowe trzewiki, wybrałem najwyższą jabłoń rosnącą obok stodoły i zapominając o wszystkim, zacząłem się wspinać do zwierząt. Ale gdy doszedłem do szczytu jabłonki, do najdrobniejszej gałązki, na której do późnej jesieni czerwieniło się jabłko, i jeszcze nie doszedłem do zwierząt, dałem spokój. Zerwałem tylko kilkanaście jabłek i wprost z jabłoni zacząłem rzucać nimi na niebiosa. Ale jabłka spadały rozbijając się o ziemię. Wtedy zacząłem rzucać jeszcze mocniej i wyżej. Wydawało mi się, że teraz jabłka spadają między zwierzęta, bo od widnokresu wszczął się wśród nich popłoch. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jabłka opadając toczą się po strzesze stodoły na jej drugą, niewidoczną dla mnie stronę.

Zszedłem z jabłoni. Był już zresztą najwyższy czas. Pies śpiący do tej pory w zapolu zbudził się i zaczął naszczekiwać. Zanim go przywołałem do siebie, z niebios uciekły w popłochu wszystkie płowe zwierzęta. Że były na niebiosach, można było poznać po dymiącym łajnie i po kłaczkach sierści syjącej się przez sad.

3

Zarzuciłem na plecy parciany tobołek, pogłaskałem po trójkątnym łbie łaszącego się psa i pogwizdując wszedłem w wysoką kukurydzę. Kukurydza ciągnęła się od naszej stodoły aż po rzekę. Gdy szedłem przez nią zanurzony z głową, oprócz fragmentów nieba, ledwie rozjaśnionego do mleka, nie widziałem nic. Ale za ledwie wyszedłem z kukurydzy i spojrzałem na pełne niebiosa, aby odnaleźć w nich odbity nasz dom i ojca stojącego na progu, i matkę, idącą przez błonia, z przerzuconym przez ramię snopkiem prosa, musiałem znowu przystanąć. Zamiast naszego domu i ojca, i matki, widziałem przepływającą przez niebiosa rzekę. Nie była to nasza rzeka, pełna zielonych konopi. Była szersza i głębsza od najwyższych konopi, podobna do popielatego jedwabiu, z którego wyskakiwały twarde jak wrzeczona ryby. Poza tym cała była zapisana w znaki wojen, pomoru i głodu. Przepływała po niebie ogromnym półkolem, jakby przesuwała się na drewnianych krosnach czy też była potrząsana przez kogoś na ramionach. W jej popielatym jedwabiu, między jej rybami widziałem siebie nurkującego do samego dna. Najwyraźniej szukałem czegoś na jej dnie, bo co chwila wyskakiwałem z niej, prychałem i znowu nurkowałem. Początkowo sądziłem, że chodzi mi o scyzoryk, który w dzieciństwie wpadł do wody. Ale kiedy z rzeki zaczęły wyskakiwać potopione przeze mnie szczenięta, zrozumiałem, że ta rzeka przepływająca nade mną jest tą samą rzeką, nad którą się urodziłem, tyle tylko, że nic w niej nie ginęło, lecz przeciwnie - żyło utajone jak kukułka w lesie i biały chleb we śnie.

I nie bałem się już tej rzeki ani utajonych w niej znaków, ani szczeniąt, które potopiłem. Idąc coraz spieszniej brzegiem naszej rzeki, cały czas spoglądałem na niebiosa, unikając nieomylnie wyrw, tarniny i akacjowych krzewów powiązanych w kolczaste zasieki. A choćby nawet wyrwy, tarnina i

akacyjne krzewy nie były odbite tak dokładnie w tej rzece przepływającej przez niebiosa, i tak bym mógł iść z zamkniętymi oczami, bo szczenięta potopione przeze mnie szły tuż obok moich nóg, naszczekując czujnie. Ale ja przez cały czas szedłem z głową podniesioną, nie dowierzając przepływającemu nade mną przebaczeniu. Poza tym chciałem zobaczyć mojego przyjaciela, z którym chodziłem jesienią łąsować śliwki do plebańskiego sadu, a który przy pławieniu koni został wciągnięty przez fioletowy wir. Nawet przez chwilę wydawało mi się, że z popielatego jedwabiu wybija się koński łeb, szyja, grzbiet i tylne kopyta, że już, już zobaczę mojego rówieśnika uczepionego końskiego ogona. Ale to tylko jedwab takim kształtem przesuwiał się po niebiosach. I zrozumiałem, że nie mogę zobaczyć przyjaciela, bo zanim go wciągnął fioletowy wir, nie zdążył mi przebaczyć rudej dziewczynki, która na błoniu pocałowała mnie w usta. I już byłem niemal pewny, że tylko zwierzęta rodzą się na powrót, choćby jedynie na niebiosach, i znów nas prowadzą naszczekując czujnie. Natomiast ludzie, odchodząc od nas, nie rodzą się nigdy.

Może właśnie dlatego wybrałem się w tę pielgrzymkę. Bo wprawdzie nadal szedłem z głową podniesioną na niebiosa, ale już nie widziałem przepływającej przez nie rzeki. Natomiast wewnątrz siebie widziałem mojego rówieśnika. Początkowo jako ptasie światło w sadzie, później jako gruby cień, jeszcze później mogłem już odróżnić płową głowę, wypięty brzuch i bosc nogi. Szedłem nieustannie, a on szedł razem ze mną, stojąc nieruchomo w widzianym we mnie sadzie. Zdaje się, że w pewnym momencie zacząłem go wołać po imieniu, ale on się nie odzywał, a może nawet nie słyszał, że go wołam. Przyzywałem więc wszystkie zwierzęta, które potopiliśmy w rzece, wszystkie koty zabijane o wierzby i wszystkie myszy, którym na jesiennych łąkach miedzianym drucikiem wypalaliśmy ślepią. Drgnął, w jego twarzy poruszyło się światło, ale nie wyszedł spod plebańskiego sadu, w którym po raz ostatni łąsowaliśmy śliwki. Szedłem więc razem z nim do tego miejsca, które od dawna widziałem we śnie, a które na jawie ujrzałem dopiero wtedy, gdy zacząłem czytać skradzioną kościelnemu Biblię.

4

Zbliżało się południe. Rzeka przepływająca przez niebiosa spłynęła za widnokres razem z moją wsią. Wprawdzie nadal wzdłuż rzeki rosła kukurydza i tytoń, ale okolica była już zupełnie inna. Może dlatego, że zbliżałem się do rozsypanego po wzgórzu miasteczka. Samo miasteczko, poza klasztorem z białego kamienia, niczym nie różniło się od naszej parafialnej wsi. Ale żył w nim i starosta, i rejent, i urzędnicy skarbowi. Przeto pola coraz częściej czuć było włoską kapustą, kalarepą i kalafiosem.

Nie chciałem się zbyt zbliżyć do miasteczka. Był akurat targowy dzień. Mogłem spotkać znajomych. Poza tym obawiałem się chodzących wokół miasteczka urzędników mytowych. A nie miałem ani grosza. Gdyby mnie przyłapali, na pewno by mnie wsadzili do magistrackiego aresztu. Oprócz

tego wiedziałem, że wokół miasteczka chodzą również ci pokraczni ludzikowie. Pierwszy raz zobaczyłem ich, gdy kilka lat temu na miejskiej targowicy sprzedawaliśmy z ojcem jałową krowę. Kiedy ojciec kupił mi pszenną kukielkę i zostawił na wozie, a sam poszedł z kupcami przepić postronek, ludzikowie, podpierając się wzajemnie, włązili na wóz, wydzierali mi bułkę. Gdy próbowałem się bronić, szczypali mnie w policzki. Ale nawet wtedy, posiniaczony na całym ciele, nie krzyczałem. Dopiero gdy zaczęli odpinać swoje ręce i nogi, a poniektórzy wyjmować sobie nawzajem oczy, wrzasnąłem na cały targowy plac. Zbiegli się ludzie. Próbowali mnie uciszyć. Ale ja, stojąc na wozie, wymachiwałem rękami, odpędzałem od siebie ludzików. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy nadbiegł ojciec i uderzył mnie w policzek. Pokazywałem ojcu przebiegających pod wozem ludzików, ale on, podobnie jak pozostali chłopci, nie mógł ich widzieć. Ludzie stali ciasno koło wozu i kiwali głowami. Niektórzy podchodzili do ojca i coś mu szeptałi na ucho, wskazując przy tym ruchem głowy pobliską akuszerkę, leczącą uchynięte cieleśnie i duchowo dzieci.

Przeto nakładając drogi, wszedłem w stare łożysko rzeki i posuwając się przez cały czas sitowiem, obszedłem miasteczko. Przystanąłem uspokojony dopiero wtedy, gdy kamienny klasztor pomniejszył się do skrzydła, a drewniane miasteczko do gołębia wypuszczonego z worka. Kiedy strach przed miasteczkiem zeszedł mi w kolana, w łydki i w podbicie stóp i zaczął wsiąkać do ziemi, uczułem głód. Zdjąłem z ramienia parciany worek i usiadłem w pachnącej rybą trawie. Wyjąłem glonek chleba, odkroiłem kawałek i tnąc go scyzorykiem na skibki, połykałem łapczywie. Zjadłem jeszcze kilka jabłek i dopiero wtedy poczułem, że jestem zmęczony.

Nawet nie wiedziałem, kiedy zasnąłem. Natychmiast, jak kamień rzucony w świerkowy zagajnik albo drewniana strzała wypuszczona w sobótkowe niebo, zapadłem się w senną paproć. Tyle jeszcze pamiętam, że nad tą paprocią przesunęło się światło, podobne w miękkości do końskich nozdrzy.

Zerwałem się gwałtownie z tego snu sądząc, że na powrót jestem małym chłopcem, a rodzice, idąc do żniw, wsadzili mnie do wysokiej beczki po kapuście. Dopiero gdy przetarłem oczy i obok siebie namacałem parciany tobołek, zaczęły we mnie powracać zwierzęta widziane na niebiosach i rzeka cała w wojennych znakach, i wypływające z niej szczenięta, i mój przyjaciel, i to miasteczko, które musiałem obchodzić z daleka. Wtedy też przypomniałem sobie, że w czasie snu widziałem, i to wyraźniej niż zwykle, to miejsce, do którego pielgrzymowałem.

5

Była północ. Poznałem to po ułożeniu Wielkiego Wozu. Stał po kulbony w dojrzewającym zbożu z dyszlem wskazującym uchylone stodoły. Wiedziałem również, że Wielki Wóz ma podobne ułożenie, kiedy na jesieni przelatują stada dzikich ptaków. Tyle tylko, że dyszel wskazuje południe, a jego koła są bardziej wyostrzone na piasku. Ptaki pomieszane z iskrami, bo wtedy w niebie

pełno jest iskier, lecą jak strzały o żelaznych grotach, przyciągane przez magnes przesuwający się przed nimi.

Również mnie się wydawało, że jestem przyciągany przez zanikającą na południu zorzę. Kierując się na nią, szedłem w górę rzeki, odróżniając ją od wikliny już nie po zapachu, bo nad rzeką wszystko cuchnie rybą, ale po dzidach wbitych w jej dębowe dno, na których były zawieszane naftowe latarnie, a może ucięte niegdyś głowy. Nie przejmowałem się tym. Było mi wszystko jedno, czy są to latarnie, czy też ucięte głowy. Grunt, że świeciły. Spieszyłem się, chcąc przed jutrznią dojść do wzgórz.

Początkowo szedłem, widząc przed sobą i natychmiast w sobie całą okolicę z widnokresem jak rondo słomianego kapelusza. Ale kiedy wiklina, uchylając się przede mną, i zboża, mieszające się z wikliną, wchodziły co chwila na pagórki, aby natychmiast opaść w dolinki wymoszczone podbiałem, całą okolicę widziałem już tylko w sobie, bo szedłem z zamkniętymi oczami. Jakoż nie była to już pielgrzymka, ale jazda na kołyszającym się sennie bawole. Szedłem jednak nadal prosto, nie potykając się i nie upadając w zboża i wiklinę. Tak bardzo chciałem dojść do wzgórz, że nawet śpiąc odnajdywałem potrzebną mi ścieżkę.

Oczywiście wtedy zapomniałem, dokąd idę. We śnie przychodziła do mnie nasza wieś, mój dom, a zwłaszcza nasze pole. Wychodziłem na to pole z pługiem, z motyką. Ziemię tego pola, spieczoną jak krowi jęzor, rozrywałem na skiby, na kawałki. Poszczególne bryłki kruszyłem w palcach na popiół. Czasem w tych bryłkach odnajdywałem zaśniedziały grosz, grot po drewnianej strzale, sprzączkę po weselnej uprzęży. Ale te drobne rzeczy już mnie tak nie cieszyły jak w dzieciństwie. Natomiast niemal klaskałem w ręce, kiedy sypiąc w rozkruszoną na popiół ziemię proso i pszenicę doczekałem się po tygodniu roślinnych iskier. Wtedy całymi dniami stałem pośrodku pola, wyprowadzając z ziemi gruzlastymi palcami iskierki zbóż. Najpierw do kostek, do kolan i wreszcie do szyi. Ręce opuszczałem dopiero wtedy, gdy od ich trzymania nad nieustannie rosnącym zbożem grubiały mi przeguby i łokcie.

Kiedy jednak z kosą miałem wejść w sypiące się zboże, budziłem się natychmiast. Wokół siebie czułem zapach przecinanych tętnic i wydzieranych naczyń limfatycznych. Dopiero po chwili ten przesycony solą i żelazem zapach miał smak pieczonego chleba. Ale mnie się nie chciało jeść. Myślałem wtedy o zwierzętach, które na pewno dadzą radę postawionym przeze mnie zbożom. Przyspieszałem kroku, bo coraz wyraźniej widziałem przed sobą wzgórze. Wprawdzie jutrznia dopiero dobijała się widnokresu cielęcym łbem, ale ja już ją widziałem jaśniej od wody ściekającej z końskiego pyska.

6

Było mi zimno. Wprawdzie po zapachu i po barwie jutrzni można było poznać, że za widnokresem słońce już buszuje w resztkach nie dojeżdżonych i nie rozgniecionych przez zwierzęta jagód, w zawiązujących się coraz młeczniej laskowych orzechach, w sypiącym się w sierść zboża dzikim maku,

ale od rzeki, położonej obok jak ułańska szabla, prosił żelazisty chłód. Jednak nie z obawy przed tym chłodem zacząłem zbierać wiklinowy susz, targać podeschniętą trawę i układać to wszystko w ognisko. Wprawdzie chciałem się również ogrzać, ale przede wszystkim chodziło mi o trochę światła jaśniejszego od jutrzni.

Jakoż pod tą jutrznią, tam gdzie niebiosa grodziły się z wikliną w jarmarczne półkoszki, w stodołne lassy i polne opłotki, pojawiły się znowu widziane wczoraj przeze mnie zodiakalne zwierzęta. Między tymi zwierzętami stał mój rówieśnik, który się utopił w rzece. Próbował je karmić białą koniczyną. Ale one coraz bardziej zbliżały się do niego, obniżały łby, całe w kościanych porożach. Rówieśnik próbował je ugłaskać jeszcze garścią soli pomieszanej z ziemią, ale one, rozjuszony, nie widziały wyciągniętej ręki i nie czuły zapachu sypiącej się przez palce soli. Od tych rozjuszonych zwierząt całe niebiosa czuć było piżmem, białym potem spływającym płatami z ich kosmatych boków. Jakoż zbliżone do mojego rówieśnika, biły kopytami w tę makową jutrznię, rozrywały porożami czerwoną wiklinę. Na rówieśnika, na niebiosa, tak samo młodziutkie jak on, sypał się płowy mak i wiklinowe liście. Już go prawie nie widziałem spod tego maku i spod tych liści. Z tego miejsca, gdzie stał z wyciągniętą ręką, dochodził krzyk przepiórki, kani.

Kiedy mak i wiklinowe liście opadły na lasy i na wody, zobaczyłem jeszcze, jak po sznurkowych drabinach wspinają się na niebiosa ci ułomni ludzikowie z miasteczka. Kilku z nich biegło już na ukos niebiosami do mojego rówieśnika leżącego tuż u widnokresu, z głową odrzuconą. Biegąc wyjmowali z kieszeni za dużych spodni płaskie flaszki, nie dojeżdżone jabłka, całe garście słonecznikowych pestek. Nachylali się nad moim rówieśnikiem, scyzorykiem podważali jego zęby, wlewając mu w usta może rum, a może sok z naciętej leszczynowej witki. Kiedy mój rówieśnik podniósł głowę, wzięli go na ręce i nieśli na ukos niebiosami. Ci, co go nie nieśli, śpiewali, podrzucali czapki, stawiali koziołki, sypali za siebie pestki słonecznika.

Kiedy z niebios już schodzili z tym chłopcem na rękach, opuszczając się ostrożnie po sznurkowych drabinach na klasztorną wieżę, zaklaskałem w ręce i tańczyłem, i stawiałem koziołki osmykując garściami wiklinowe liście. Rozgrzałem się przy tym i już mi się nie chciało rozpalać ogniska. Ale chciałem jakoś uczcić tych koślawych ludzików, którzy przed chwilą zeszli z niebios, dać im znak, że im przebaczam. Przeto przyklęknąłem nad ogniskiem i tłukąc w dwa kamienie, wyjęte z parcianego worka, sypałem iskra za iskrą na hubkę. Kiedy jutrznia zsypała się z niebios jak pszenica z rozerwanego worka i w koronę pobliskiego sadu weszło słońce wielką dynią, tryskającą od nadmiaru pestek, zażegłem ognisko. Z parcianego worka powyjmowałem rajskie jabłuszka i rzucając nimi na rzekę, spływającą w dół pod miasteczko, skakałem przez ogień.

Było mi gorąco. Ściągnąłem cajgową bluzkę i Inianą koszulę. Ponieważ i bluzka, i koszula były prze pocone, powiesiłem je na pobliskim wiklinowym krzaku. Prawie nagi, zwrócony plecami do ogniska, a twarzą do wschodzącego słońca, żulem powoli i do syta wyjęty z parcianego tobołka chleb. Brakowało mi do tego chleba kawałka słoniny. Staralem się nie myśleć o tym, pamiętając, iż przyrzekłem sobie obywać się w tej pielgrzymce wodą i suchym chlebem. Przeto jeśli po chwili myślałem o czymś jedząc suchy chleb, na pewno był to kawałek ryby nabitej na patyk i upieczonej nad ogniem.

Z nadzieją, że może mi się uda pod kamieniami namacać kołkowatego szczupaka, podniosłem się z ziemi i zacząłem iść w stronę rzeki. Gdy wszedłem w jej chłód, zorientowałem się, że nie jest to już ta sama rzeka, która przepływała przez naszą wieś położoną w gliniastej dolinie. Przepływając przez wapienne wzgórza, przestała pachnieć rybą, dziką miętą i miętusią trawą. Czuć ją było ałunem i woskiem, najwidoczniej kapiącym z rosnących u jej źródeł rozgrzanych świerków.

Ostrożnie, przytrzymując się wystających z wapiennych brzegów kamieni, wszedłem w jej nurt. Za ledwie stopami dotknąłem kamienistego dna, poczułem, jak ono zaczyna uciekać spode mnie. Krzyknąłem, bo sądziłem, że razem z tym kamienistym dnem toczę się w stronę miasteczka i naszej wsi. Aby się przed tym uchronić, usiadłem w rzece. Woda była płytka. Gdy w niej usiadłem sięgała mi za ledwie po pazuchy. Obok moich bioder, pod moimi rękami przelatował niesiony przez wodę żwir i drobne kamienie. Chwytałem ten ulatujący żwir, te nagle ptasio żywe kamienie w dłonie. Wyjmowałem z wody. Schły szybko na słońcu. Wtedy widziałem, że nawet najdrobniejsze kamyki mają w sobie iskrę. Nie spotkałem ani jednego kamienia, a przyglądałem się im skrupulatnie, z którego byłaby wyjęta choćby jedna iskra czy też mikowa blaszka.

Jeszcze długo siedziałem w wodzie, wyciągając coraz pospieszniej pełnymi garściami żwir i kamienie. Chciałem znaleźć choćby jeden oślepy kamyk. Gdy mi się to nie udało, krzyknąłem z radości i wyskoczyłem z wody. Widocznie w rzece było tyle radości, co we mnie, bo w tej samej chwili, podcięty przez nurt, leżałem na jej dnie. Ale teraz już się jej nie bałem. Przeciwnie, uważałem ją za bliskiego krewniaka, który przyniósł mi pełne zanadrze zielonych papierówek, cały pęk upierzonych strzał i kukułkę pod pachą. Wskakiwałem na jej kamieniste kolana, targałem ją za liściaste uszy, nurkowałem w jej iglastą dąbrowę.

Posiniaczony, z rękami pełnymi kamieni, zapominając, że wszedłem do tej rzeki, aby wyjąć z niej szczupaka, wyskoczyłem na brzeg. Biegałem po brzegu, stawiałem koziołki, aby jak najprędzej obeschnąć na słońcu i ubrać się w przesycone ziemią i solą ubranie. Wprawdzie nie musiałem się spieszyć, bo sądząc po kamieniach byłem już na tej ziemi nie ruszonej stopą, rogiem, scyzorykiem, dzidą, ale przecież nie wypadało mi iść po niej nago.

Od miesiąca żyję na tej ziemi. Od miesiąca też i od tych kilku dni pielgrzymki nie widziałem człowieka. Nawet tego mojego rówieśnika, którego wciągnął rzeczny wir, a który towarzyszył mi w pielgrzymce do tej ziemi, idąc po niebiosach. Również nie widuję więcej na niebiosach pasących się zwierząt. Nawet w tej stronie widnokresu, gdzie jest moja wieś. Natomiast nieustannie przychodzą do mnie zwierzęta żyjące na tej ziemi. Sarna, kilka zajęcy, kret, sporo ptaków. Idąc przede mną, prowadzą mnie w te miejsca, gdzie jest najwięcej dzikiego ziarna i cebulastych korzonków. Razem z nimi zjadam to ziarno, te korzonki. Chleb dawno mi wyszedł, również jabłka zostały zjedzone, a ich pestki zagrzebane w ziemi. Aby zupełnie nie stracić sił, codziennie spod kamieni wyjmuję rybę i nabijając ją na patyk, piekę nad ogniem. Ptaki zjadają wnętrzności, z ości budują sobie szkielety gniazd, wyścielając je trawą i piórkami.

Najwięcej jednak pożytku mam z kreta. Wychodzi zawsze do mnie spod ziemi dwa razy dziennie: o świcie i o zmierzchu. Razem czytamy Biblię rozłożoną na kamieniach. To znaczy, ja czytam Biblię, a kret dojadając wyniesiony spod ziemi korzonek słucha. Nieodmiennie o świcie i o zmierzchu czytam sobie i kretowi rozdział o raju. Opuszczam jednak z niego te fragmenty, w których jest mowa o niewieście.

Zdaje się, że kret domyślił się tego, bo pewnego zmierzchu wyszedł do mnie spod ziemi razem ze swoją połowicą. Początkowo, stojąc przede mną słupka, słuchali pilnie, ale gdy zacząłem omijać te wstydlive dla mnie fragmenty, zwierzątka najwyraźniej zaczęły się łączyć do siebie. Nie doczekały nawet do końca codziennego czytania i biegnąc truchcikiem między suchą trawą weszły pod ziemię. Nie zjawiały się przez parę tygodni, chociaż po coraz większej ilości kopców wiedziałem, że żerują w pobliżu. Dopiero przedwczoraj zjawily się przede mną, prowadząc między sobą oślepe stadko swoich pociech. Zacząłem im czytać Biblię. Ale one nie chciały słuchać tego, co im czytałem. Tupaly łapkami w zeschniętą trawę i popiskiwały. Odłożyłem Biblię i biorąc po kolei małe kreciątko, przemywałem im poślinionym palcem podobne do ziarenek maku ślepka. Po czym zjedliśmy zgromadzone przeze mnie na cały tydzień zapasy korzonków.

Od tej pory krety wprawdzie przychodzą do mnie codziennie, ale ja już nie ośmielałem się im czytać Biblii. Biblię czytam dopiero wtedy, gdy krety odchodzą ode mnie. Ostatnio zauważyłem, że mimo woli kilka razy z rzędu przeczytałem sobie na głos te opuszczane uprzednio fragmenty o niewieście. Po tygodniu nie mogłem się już obejść, aby tych fragmentów nie czytać raz po raz.

Pewnego dnia, kiedy jeszcze raz przeszukiwałem tę kamienną równinę z kilkoma akacjowymi drzewkami pośrodku, aby odnaleźć w niej choćby cząstkę rajskiego drzewa, wydawało mi się, że w niektórych kamieniach, w ich mikowej tajemnicy, widzę ślad kobiecej ręki i bosej stopy. Gdy zaś słońce

wchodziło w drobne korony tych kilku akacjowych drzewek, widziałem idącą pod nimi niewiastę. Szła wprawdzie bardzo wolno, ale i tak widziałem zarys jej głowy, piersi i brzucha. Pewnego dnia wyszedłem jej naprzeciw, ale ona wtedy oddalała się ode mnie, jakby była pociągana do tyłu za warkocz.

Gdy słońce wyskakiwało zza akacjowych drzewek, a niewiasta znikła między ich listkami, wychodziłem z szałas skleconego z gałęzi i z darni i jeszcze raz przeszukiwałem całą okolicę. Ale nie mogłem znaleźć tego miejsca, skąd ona wychodziła, nie odszukałem też w suchej trawie śladu jej stopy, a na akacjowych drzewkach choćby jednego włosa z jej warkocza. Dopiero kiedy zaczął mnie boleć bok i potylica, domyśliłem się, że niewiasta wychodzi ze mnie. Przeto o świcie przestałem jej upatrywać między akacjami. Siedziałem odwrócony plecami do słońca, z przymkniętymi na wszelki wypadek oczami. Ale wtedy jeszcze wyraźniej widziałem idącą, tym razem przeze mnie, niewiastę. A ponieważ widziałem ją wyraźniej niż uprzednio pod akacjami, rozpoznałem w niej tę piegowatą dziewczynkę, którą niegdyś pocałowałem na błoni. I równocześnie obok nas całujących się zobaczyłem mojego rówieśnika zdzierającego pełnymi garściami liście z wierzbowych gałązek i rzucającego tymi liśćmi w nas, stojących pod wierzbą.

Jeszcze przez kilka dni bronilem się przed tą niewiastą podobną do piegowatej dziewczynki, a już jaśniejącą we mnie rytą głęboko miedzią, i przed tym rówieśnikiem stojącym nieustannie obok nas. Kiedy jednak o zmierzchu gromadka kretów przyszła do mnie, a te małe, już teraz podrośnięte, zaczęły się łączyć po dwa, po dwa, przeczytałem im Biblię z tymi fragmentami o niewieście, zjadłem z nimi wszystkie korzonki zgromadzone na zimę i rzucając im jeszcze na dodatek ostatnie, trzymane na święta Bożego Narodzenia jabłko, zawiąłem Biblię w kawałek surowej skóry, kamienie trzymane w parcianym tobołku wrzuciłem do rzeki, podpaliłem swój szałas i rozglądając się po widnokresie, zacząłem iść w stronę mojego domu.

Szedłem wzdłuż rzeki. Gdy dochodziłem pod miasteczko, zaczął padać śnieg. W tym padającym pierwszym śniegu nie widziałem już miasteczka, jedynie od czasu do czasu przebłyskiwała klasztorna wieża. Na niej wisiały jeszcze te sznurkowe drabiny, po których w sierpniu ci ułomni ludzikowie znieśli z niebios mojego rówieśnika. Ale teraz widząc te drabiny nie byłem pewny, czy ci ludzikowie nie weszli po nich na niebiosa tylko dlatego, że z wozu piekarza zjeżdżającego z pagórka zaczęły się sypać na niebiosa rogate i białe chleby. Upewniłem się nawet w tym przekonaniu, gdy za miasteczkiem spojrzałem na niebiosa i zobaczyłem na nich pasące się zwierzęta. Były niemal płowe, ale podbite przed zimą gęstym niebieskim futrem. Że mnie ci ludzikowie przechytrzyli, przekonałem się na pewno, gdy za tymi zwierzętami spostrzegłem przepływającą przez niebiosa rzekę. Cała była w śryzie, w ścinającej się krze, w fioletowych lejach. Spod tego śryzu, spod tej kry, z tych fioletowych lejów wyskakiwał co chwila koń, bijąc kopytami o wodę, o ścinające się w zielony lód niebiosa.

Przymknąłem powieki. Ale pod powiekami widziałem mojego rówieśnika

uczepionego końskiego ogona. Za tym rówieśnikiem widziałem naszą wieś w śniegu, w słomie. Pod tym śniegiem, pod tą słomą stali moi rodzice. Drzwi domu były uchylone. Przez nie widziałem się. W sieni na dębowym korycie leżał poćwiartowany wieprzek. Na piecu dymił sagan z wylażącą z niego wątrobą. Jeszcze dalej, w uchylonej izbie, stało wigilijne drzewko. Pod nim leżało siano.

[Spis treści](#)



Latarnia

Nad wsią w ciemności pali się latarnia. Niebo po burzy pachnie żywą rybą, pietruszką, koprem. To na plebańską zjechali prałaci. Jutro jest odpust. Więc kucharka z wiklinowych koszy wyłożonych pokrzywą wyjmuje szczupaki, na ławce je skrobie, rozcina, patroszy. Stąd również plebania pachnie żywą rybą. A jeśli rybą, to również kotami. Bo kucharka rybie wnętrzności wyrzuca przez otwarte okno pod plebańskie jabłonie. Koty wyciągają te rybie wnętrzności spod plebańskiego sadu na podwórze, z podwórza na plac kościelny wysypany przed jutrzejszym odpustem białym piaskiem. Biją się przy tym łapami, miauczą. Od tego miauczenia jabłka w plebańskim sadzie dostały gęsiej skórki.

W tym miauczeniu, o czym proboszcz nie wie, łatwiej prałatom ogrywać go w preferans. Im to miauczenie przypomina dożynkową basetlę, ciche organy w katedrze, fisharmonię na pokojach. Bo oni są z miasta. A jemu gradową burzę w pszenicach, w otwartym gołębniku. Przeto proboszcz gra nieuważnie. Poci się pod sutanną. Więc gra jeszcze nieuważniej. Chce jakoś z tego wybrnąć. Wierci się na krześle, wstaje, okręca krzesło wokół siebie, siada. Ale karta nadal mu nie idzie. Tymczasem koty ciągną już wnętrzności rybie po kościelnych schodach.

Proboszcz jeszcze raz wstaje od stołu, odsuwa krzesło, po drugie, stojące przy kredensie, idzie. A ponieważ jest dobrze wychowany, prosi prałatów, aby karty na stół położyli. A kiedy oni karty na stół kładą, podchodzi do kredensu niby to po krzesło, ale w gruncie rzeczy, aby wypić, zakąsić i wypić. Ale prałaci wiedzą, że nie chodzi tu ani o zakąskę, ani o wypicie. Patrzą z ukosa, jak proboszcz między jednym kieliszkiem a drugim nachyla o kilka stopni lustro ustawione w kredensie. Ale nic nie mówią. Nie wypada im mówić. U każdego z nich jest takie lustro, zwane jezuitką, wstawione przemyślnie w akacjowy kredens. Jedyne, co mogą zrobić, kiedy proboszcz odchodzi od kredensu, podchodzi do lampy wiszącej nad stołem, zdejmuje z niej szkiełko nr 8 i nożyczkami knot przycina, to przysunąć się o cal, o dwa cale do karcianego stołu. Wprawdzie wolnej przestrzeni między ich sutannami a blatem stolika jest niewiele, ale oni tak sobie tę przestrzeń obliczyli, że

powinno jej starczyć do arbużowej jutrzni. Od arbużowej jutrzni wszystko zależeć będzie od taktu proboszcza, no i od ich taktu.

A nad wsią w ciemności pali się latarnia. Proboszcz jej nie widzi, nie widzą jej prałaci. Nie widzi jej wójt, chociaż śpi tuż przy oknie uchylonym na koronę sadu. Cóż tam wójt! Nawet starosta wyjeżdżający akurat ze dworu po sierpniowych dożynkach wziął ją za płomyk zapalanej w szklance wódki.

A nad wsią w ciemności pali się latarnia. Pod nią śpią ludzie wkołysani w senność spadaniem jabłek złotych i czerwonych, przeciąganiem zwierząt z paproci w owies, z ciemności do jutrzni. Ludzie przez sen widzą te zwierzęta, więc we śnie sięgają po łuk i po dzidę. A wiedzą na pamięć, gdzie im trzeba sięgnąć. Łuki i dzidy są wetknięte w strzechy szop i stodół, w strzechę widnokresu. Umierając wetknęli je tam ich dziadowie, pradziadowie. Dlatego ludziom śpiącym na sianie, na jęczmiennej słomie śnią się sękaty żubry, kosmate maciory powalone w jagody i w mech. Z tych zwierząt powalonych, z ich rozchylonych pysków, z przekłutego osierdzia dymi w się piżmo i bagieny płomyk.

A nad wsią w ciemności pali się latarnia. W jej świetle, podobnym do niesionej w obydwóch rękach odciętej rudej głowy, widać przelatujące na roślinnych skrzydłach bory, wody uciekające na jaszczurach. Ale ludzie śpiący na sianie, na jęczmiennej słomie nie widzą ani tych uciekających borów, ani tych przelatujących po niebie jaszczurów. Ale przez sen czują, przez siano, przez jęczmienną słomę to niebios skrzywienie, to niebios iskrzenie. Przeto cofają wyciągnięte ręce po łuk i po dzidę. Zwijają się w kłębki, w motki lnu, konopi. Dopiero później, kiedy zwierzęta wyjdą z paproci i z mroku, a bory i jaszczury ucichną u niebios, śpią normalnie, po ludzku, z odrzuconą głową.

Nad wsią w ciemności pali się latarnia. Pod nią nie jedzie nikt, nie idzie. Spod niej na ziemię, na lasy sypie się proso, lniane siemię, mrok. Ale już widać, jak spod tego prosa, siemienia, mroku, podobny do kreta podnoszącego czarnoziem i piach, jedzie ze wzgórza oklep na kucyku pisarczyk gminny, prawa ręka wójta. Jedzie ostrożnie, bo wzgórze jest strome, a za tym wzgórzem woda, las i ziemia prosem, siemieniem, mrokiem zasypane. Choć tego prosa, siemienia i mroku jest po pęciny, po brzuch, po łeb koński, to widać jeszcze, że pisarczyk wraca okrężną drogą (za borem wdowa, lubka za jeziorem), ale przecież wraca z gminy, zza stołu w liczydłach, w ukazach. A że pisarczyk, poznać ci to, poznać po blaszce z orłem na piersiach, po wielkiej księdze trzymanej pod pachą i po kałamarzu wiszącym u pasa.

Przeto pisarczyk jedzie z tego wzgórza, na oklep jedzie, więc trzyma się grzywy. Jedzie samotrzeć: on, kucyk i wzgórze. Chociaż ktoś inny, patrzący od nieba w otwarte oczy, w usta pisarczyka, widziałby jeszcze tę wdowę za borem, lubkę za jeziorem, jadące wzgórzem oklep na kucyku w pisarczyku gminnym. Ale on nie chce, więc my też nie chcemy widzieć tej wdowy za borem, lubki za jeziorem. Niechże zostaną te jabłka za borem, wiśnie za

jeziorem, targane garścią, w garści podawane wdowie pod sadem i lubce na sianie.

Pisarczyk zjeżdża ze wzgórza, a więc teraz jedzie on, kucyk, ziemia, z boku bór i woda. A co ujedzie jedną milę, zsiada, odkłada księgę, pióro i kałamarz, z sakwy wyjmuje kurze udko, boczek, chleb smarowany na sztych masłem, serem grubo wyłożony, i jeszcze jabłka i wiśnie wyjmuje. A jedząc patrzy na to wzgórze, które teraz samotnie zjeżdża w bór i w wodę. A patrząc wyżej, widzi na niebiosach latarnię, z którą ktoś idzie na ukos.

Przeto pisarczyk okruszyny chleba, sera, ogryzki jabłek, pestki wiśni zbiera, na wodę i na bór rozrzuca, kucyka w rowie szczypiącego oset wpędza chabinką w białą koniczynę. A wtedy siada pod owсяnym brodłem, księgę rozkłada na kolanach, pióro bierze do ręki, w kałamarzu macza i na tył głowy ściągając magierkę spogląda w niebo, a co w niebie widać, w księdze litera po literze pisze:

- Nad wsią w ciemności pali się latarnia. To z tą latarnią naftową (litr nafty kopiejki dwie) niebiosami idzie plebański parobek. Idzie parobek, lecz nie terażniejszy, tylko ten łoński, któremu kozacy ukradli dziewczkę w czerwonych trzewikach. Dziewkę mu skradli, trzewiki i dziewczkę. Z siana ściągęli, wsadzili do worka, worek do siodła z dwóch stron przytroczyli i odjechali w Ruś, w Sybir, w Mongolię. Czerwone trzewiki też ściągęli z siana, lecz ich nie wywieźli w Ruś, w, Sybir, w Mongolię. Zostawili je w drugiej wsi u karczmarza za kwartę wódki i butelkę rumu. Tam, idąc śladem kozackiej konnicy, odkupił je parobek za korzec owsa i dwie ćwierci plebańskiej pszenicy. Ale źle trafił (albo już wtedy psuło mu się w głowie), na czas wielkanocny, a w czas wielkanocny każdy musi iść do spowiedzi z kartką. Wtedy też proboszcz wyciągnął z parobka te buty czerwone i ten korzec owsa, i dwie ćwierci pszenicy. Dziewki, a raczej tego, co z tą dziewczką psocił wiosną i latem na sianie, a zimą w plebańskiej stajni na słomianym wyrku, proboszcz z parobka nie wyciągał. Wcześniej doniosły mu o tym tercjarki. Od tego też czasu, to jest od tej Wielkanocy, parobek przestał robić u proboszcza. Chodził na dworskie, na kmiece garnuszki, ale i one, płyciutkie, równiutkie, za sprawą proboszcza dno mu pokazały. Wtedy zaczął wyplatać wiklinowe koszyki, kosze i półkoszki. Ale kiedy przyszła ta lipcowa powódź i pochłoneła czerwoną wiklinę, zabierając suszące się na słońcu plecionki, nie miał już co i u kogo robić. Nie miał też co jeść. Chodził z tymi czerwonymi butami do karczmarza, ale kiedy ten nieodmiennie dawał mu za nie kwaterek wódki, postradał rozum.

I oto dzisiaj idzie niebiosami. Boso, w koszuli rozpiętej, bez czapki. W prawej ręce niesie te czerwone buty, a w lewej latarnię. Ciekawe tylko, bo przecież nie pomarł, jak się też dostał na niebiosy. Idzie ze wschodu na zachód, więc idzie z plebańskiego sadu, a ten plebański sad jest przy cmentarzu, a ponieważ sad jest przy cmentarzu, ludzie przezwali go Jakubówką. Po trosze od imienia proboszcza, po trosze zaś od Jakubowej drabiny.

Widać, parobek o tym wiedział, a tym lepiej wiedział, iż był pomyłony.

Więc z tymi czerwonymi butami i z tą latarnią wszedł do sadu, w sadzie na jabłoń, a z jabłoni po Jakubowej drabinie wprost na niebiosy. A teraz idzie niebiosami. Widać mu lekko iść, bo podskakuje, trzewikami potrząsa i latarnią chwieje. Niech sobie idzie, co mi tam do tego. Tylko mógł sobie przedtem umyć nogi. Brudne ma, obwieś. Jeszcze gdy idzie statecznie, pół biedy, ale gdy go weźmie to podskakiwanie, z pięt na niebiosy bryzga ił i gnoj. A to ci bestia, znowu podryguje! Całe niebiosy tymi nożyskami zachlasta, zapaćka. A jutro odpust. Procesja, baldachim, pod tym baldachimem prałaci, proboszcz. Przy tym baldachimie dziedzic, wójt, ławnicy. Przed tym baldachimem dzieci, kwiaty, hosanna. Za tym baldachimem dziewczki w welonach, z liliami w rękach. A nad tą procesją, nad tym baldachimem te niebiosy na ukos gnojem zapaćkane. Taki wstyd, o Boże, na całą parafię, na calutki powiat.

Dzięki ci, Boże, żem się upił, dzięki, żem nie pojechał do domu, żem wstąpił do wdowy za borem, do lubki za jeziorem. W tej nocy z prosa, z lnianego siemienia, z jaszczurczego mroku cała wieś chrapie na sianie, na jęczmiennej słomie, grzesznie rozrzucona. Przywołam kucyka, pewnie się do tej pory podpał w białej koniczynie, wsiądę na niego, do wsi pocwałuję, pobudzę strażaków. Mają dwie sikawki. Tymi sikawkami chyba zdążą do świtu obmyć te niebiosy i z iłu, i z gnoju. Ale zanim do wsi pocwałuję, muszę się dowiedzieć, gdzie ten parobek niebiosami zdąża.

- Hej, ty tam u niebios, gdzie to idziesz, bracie?
- A gdzieżby. Na odpust.
- A to drogą nie prościej, ino niebiosami?
- Dla jednego prościej, dla innego nie. Dla mnie prościej niebiosami.

Równiej. A widok jaki, a co widać, rety!

- To nie zejdziesz stamtąd?
- A czemu, miałbym zejść. Na odpust przecież idę, a na odpust wolno iść tędy i owędy. Nawet niebiosami.
- Powiedz mi jeszcze, czemu niesiesz latarnię, latarnię i buty.
- Latarnię, bo ciemno, buty, bo czerwone.
- Tylko dlatego je niesiesz?
- E, co to to nie. Dla jaszczura je niosę. O zmierzchu był u mnie jaszczur.

Powiadał, że jeśli go ubiorę w czerwone buty, a przedtem pochodzę po odpustowych niebiosach, to on mnie zanieśie do mojej frajerki na Ruś i na Sybir. Nawet do Kitaju, jeśli będzie trzeba, to on mnie zanieśie, zanieśie, zanie...

Chciałem jeszcze spytać parobka, czyby się nie zgodził zejść z niebios za kwartę wódki, kawał słoniny, bochenek chleba i za starą kapotę. Ale on, idąc niebiosami w ciągu całej naszej rozmowy, uszedł szmat drogi, tak że już nie mógł usłyszeć ani o słoninie, ani o kapocie. A może to ja nie mogłem już usłyszeć tego, co mi odpowiadał. W każdym razie na wódkę nie przystał, bo ani przystanął, ani się odwrócił, ale ciągle, na ukos, spieszył niebiosami.



Muzykant

1

Rano, skoro świt, wygrzebała ich z siennego brodła dworska służka. Wychodzili pojedynczo z tej podwójnej senności: własnej i gorącego siana. Otrzeputując się ze ździebeł, przystawali na uboczu tej trzeciej senności: pobliskiego lasu i sierpniowego nieba. Widać, najbardziej spodobała im się ta trzecia senność, bo wygrzebali z siana instrumenty i zagrali tej służce, która ich wywołała z zaspanego siana.

A wtedy siano nie było już tym samym sianem i las pobliski nie był już tym samym lasem, z którego nocą wyszła paproć i wyszły zwierzęta, aby się na ugiętych w łopatkach łapach, na kogucich nogach przesmyknąć w sen ludzki. Jakoż widać jeszcze było po śladach na zalanej rosą trawie jak paproć i zwierzęta wracały do lasu, a sen ludzki powracał do ludzi. Wprawdzie siano przeciągało się nadal w kolankach i trzeszczało, jakby przezeń szły iskry, ale i ono uspokoiło się wkrótce do ułożonej wysoko naręcze po naręczu siennej wody.

Przeto muzykanci zagrali jeszcze raz, żeby wyprostować palce i zgrubiałe od senności łokcie, i biorąc instrumenty pod pachy, poszli na przełaj do sąsiedniej wsi. Szli gęsiego samotrzeć: prymista, sekundzista i basista. Szli pogadując, jabłka pogryzając i nawet się nie spostrzegli, że za nimi szło całe wesele. Ale nie to z różdką, z welonem, z twarogowym plackiem, z odbitą beczką jabłeczniaka. Za nimi szło to drugie wesele, jakie się zaczyna w tym pierwszym, zanim to pierwsze przesmyknie się do muzyki i do tańca.

Więc, jak się rzekło, za nimi szło to drugie wesele. Z kukułką u szczytu topoli, z wilgą wołającą z sierpniowego deszczu, stojącego wokół całego horyzontu w jęczmiennych i pszenicznych brodłach, z borsukiem pogwizdującym z leśnej jamy. Samo zaś wesele, z basami na plecach, ze skrzypcami pod pachą, z młodym źróbkim we wstążkach, przesuwało się nad muzykantami. Oni wprawdzie co chwila spoglądali nad siebie, ale czy to udawali, czy też zaiste nie widzieli tego wesela, bo szli jakby od niechcienia ze skrzypcami pod pachą, z basami na plecach.

Dopiero gdy byli w pobliżu wsi, coś ich tknęło, bo wyjęli spod pach skrzypce i basy z pleców zdjęli, zaczęli je stroić i szykować się do zagrania. Ale wtedy było już za późno. Jakoż wcześniej od skrzypiec i od basów odezwała się kukułka u szczytu topoli i wilga zagwizdała przelatując w deszczu ułożonym wokół horyzontu w jęczmienne i pszeniczne brodła. Również lubczyk i jabłka zaczęły się sypać garściami na te skrzypce i na to wesele wyjeżdżające z opłotków na bryczkach i na wozach. Muzykanci, przygrywając nieustannie, przyspieszyli kroku i w biegu wskoczyli do środkowej bryczki. Konie, wietrząc za sobą i muzykę, i to wszystko, co się

będzie dziać i co już się działo pod tą muzyką, poniosły z kopyta i muzykanci nie byli już w środku, ale na przedzie wesela.. Nie musieli jednak grać głośniej. I tak ich słyszano w ostatnim wozie dopiero wyjeżdżającym z trzeszczących opłotków.

Grało im się dobrze i lekko jechało. A bo to i skrzypce, i basy w brodle się wyspały, smyki kalafonią obficie natarte trzymały się strun, a i starszy drużba araku nie skąpił. Aż za dobrze i za głośno, jak na tych dwoje skrzypiec i te jedne basy. Przeto pociągając smykami, spoglądali po sobie. Byli tacy sami, jak wczoraj, jak przedwczoraj. Może tylko sowiciej wyspani, do przeczesanych grzebieniem konopi, do leśnej gęstwiny w czerwonych jagodach, do wiązki siana, z której zwierzę podniosło łeb i człowiek zdjął rękę. Przestali się więc dziwić, że tak dobrze i tak głośno grają. Jedynie bliżej niż zazwyczaj przychyłili się do skrzypiec i do basów. I jechali nie wiedząc, że nad nimi idą te basy i przygrywają, a przez nie i jabłka, i lubczyk się sypią. A między tymi jabłkami i lubczykiem, tuż obok basów przeciągających nad wozem, biegnie ten żrebak w weselnych wstążkach, umajony jedliną.

2

Również w powrotnej drodze z kościoła, jak i w czasie wesela, nie opuszczał muzykantów ani na chwilę animusz. Ten animusz, nazywany przez prymistę talentem, a przez basistę smykałką, udzielił się również skrzypcom i basom. Jeśli na dotychczasowych weselach to muzykujące drewno głucho pod wieczór, jakby do wnętrza skrzypiec i basów niepostrzeżenie wlewał się wosk, to teraz, choć już na późnym niebie od dobrej godziny zapalały się coraz to inne światła, instrumenty dochodziły dopiero do tej czystej nuty, o której zwykło się mówić: jaworowa woda. Również struny, te z nitkowej stali i te skręcone z baranich jelit, nie popuściły ani o jotę, tak że smyk mógł po nich swobodnie przeskakiwać z oberka do kujawiaka i z kujawiaka do polki.

Nad ranem zaś, nad sierpniowym ranem, kiedy weselników i muzykantów coraz bardziej ciągnie do śpiocha urywający się z jabłek sad i pobliskie zapole pełne przeciągania się owsianej słomy, basista i skrzypkowie dopiero się rozsmakowali w tym swoim talencie, w tych instrumentach służących ich talentowi. Zwłaszcza basista, który na innych weselach lubił się dobrać do garnka rosółu, do kiełbas, do araku, a podpiwszy sobie i podjadłszy setnie, do dziewczek zachodził, ani na chwilę nie wypuszczał z rąk basów.

I nawet nie dlatego, że obficie niż zazwyczaj w jego basy sypało się grosiwo. Owszem, to też go trzymało przy basach. Ale przede wszystkim to, że z każdą chwilą upewniał się coraz bardziej, iż w środku basów jest coś żywego, co on, zwierając się sam sobie, bo kolegom nie śmiał, nazywał jaworową istotą o jaworowym głosie. Nachylał się też coraz bardziej nad tymi basami, do których sypało się na przemian to grosiwo, to rajskie jabłuszka (tańczono pod sadem), aby jeśli nie widzieć, to przynajmniej słyszeć tę jaworową istotę siedzącą w środku. To samo zresztą było z prymistą i sekundzistą. Tyle że oni, bardziej zadufani od basisty, przekonani byli, że

dopiero na tym weselu ich skrzypce odzyskały właściwy głos, a ich palce gibkość wiosennej gałązki.

I zdaje się, że nikt by się nie domyślił, czemu muzykanci tak dobrze grali na tym weselu, gdyby nie goście postronni. Oni to pierwsi zauważyli, idąc z sąsiednich wsi, że nad wsią weselną jest więcej świateł niż nad innymi wsiami. Nie były to nawet światła, bo niepodobne były ani do olejnych kaganków, ani do lamp naftowych, ani tym bardziej do gwiazd i księżyczka. Po prostu niebiosa nad weselną wsią wyglądały tak, jakby przez nie przeszło kilkakrotnie w pełnym galopie stado spłoszonych koni, podkutych łatwo ścierającymi się, miedzianymi podkowami. Te ścierające się podkowy zostawiały w zagłębieniach po galopujących kopytach nie gasnące iskry.

Właśnie takimi iskrami były usłane całe niebiosa nad weselną wsią. Weselnicy starali się postronnym wytłumaczyć te niebiosa w iskrach zwykłym przywidzeniem. Jakoż wszyscy wiedzieli, że zwłaszcza w sierpniu, kiedy widnokres jest na przestrzał przewiany z dymu i z popiołu po dopalonych burzach, to, co w jakiś sposób ostrzej zaznaczone jest na ziemi, nocą jeszcze wyraziściej przenosi się na niebiosa. A jeszcze nie minął tydzień, jak wiejską drogę wysypano grubym żwirem wywożonym wprost z płytkiej rzeki. A ponieważ wszystkie konie we wsi od kilku lat chodziły w podkowach giętych ze szczytów szrapneli pozostałych po ostatniej wojnie, nic dziwnego, że tak obficie sypały się iskry.

Goście postronni przytaknęli wprawdzie temu tłumaczeniu niebios w iskrach, ale poniektórzy jękając się, zaczęli opowiadać, że przechodząc przez weselną wieś, widzieli niemal pod każdym sadem, a również na gankach wychodzących w sady, całujące się pary. Przysięgali się przy tym, że nie zawsze byli to ludzie młodzi. Ba, ktoś stojący z boku, w cieniu pobliskiej osiczyny, dorzucił, że widział, jak kilka psów najwyraźniej ocierało się o siebie, w stajniach zaś słyszał rzenie koni i muczenie krów takie samo, jakie się słyszy wtedy, gdy zwierzęta czochrają się o siebie, gryzą w szyje i w podbrzusza i próbują sobie nawzajem zarzucić drabiniaste łby na grzbiety.

Na to weselnicy nic już nie odrzekli. Zauważyli bowiem, że oprócz muzykantów wszyscy na tym weselu łasili się do siebie i bez zawołania:

□ gorzko, gorzko □ - otwarcie, przy wszystkich, całowali się w usta.

Poniektórzy też przypominali sobie, że w powrotnej drodze z kościoła, na błoniu, na wysypanej żwirem drodze i na pobliskich polach, było rozsypane więcej, niż to jest potrzebne, lubczykowych listków, gałązek mirtu i czerwonych jabłek. Zaś u weselnych bram, przez które się przejeżdżało, oprócz wieńców z jedliny, papierowych wstążek i powtykanych w jedlinę piwonii była również sobótkowa paproć kwitnąca cietrzewio. Parobcy zaś, którzy majstrowali bramy, strzelali z batów, z nabitych siarką gwoździ i z odpustowych korkowców, przypominali wprawdzie wiejskich chłopców, ale więcej w nich było zamyślenia z przydrożnej kapliczki, z kościelnego witrażu, przedstawiającego wesele w Kanie Galilejskiej, niż oczekiwania na rzucany im z wozów grosz, kawałki kołacza i podawane im ćwiartki wódki.

Od pogwarki do pogwarki, a okazało się, że kilku statecznych gospodarzy, co to nie wezmą wcześniej wódki do ust, jeśli derkami nie nakryją zmydlonych koni, nie wyjmą im z pysków werblików i nie podadzą siana i obroku z owsem, zauważyło również, że koni na obejściu było znacznie więcej, niżby to można było sądzić po tych kilkunastu wozach i bryczkach weselnych. Poza tym były one jakieś inne od chłopskich, chociaż tak samo ogryzały gałązki z koron jabłonek i wybierały wargami owies z siewki zsypanej do koszów. Cieńsze w pęcinach, o wydłużonej szyi, smukłe przy tym mimo nabitego mięśniami rozrośnięcia, jakby ktoś jednym zamachem ręki narysował je na tle karego lasu czy też siwej wody. Wprawdzie sporo było wśród nich jednorocznych źrebaków, już nie pachnących mlekiem, ale jeszcze nie całkiem nabitych w zadzie i rozrośniętych w klatce piersiowej. Nikt jednak nie przypuszczał, żeby gospodarze, nie biorący udziału w weselu, ustroili swoje źrebaki we wstążki i wpuścili je między weselne konie.

Wszyscy się też zgodzili, że to właśnie te konie, pomieszane z chłopskimi, przeszły po niebiosach, zostawiając na nich te iskry, które goście postronni wzięli za światła. Większość też weselnych gości doszła do przekonania, że na tych koniach musiał ktoś przyjechać. Nie wiedzieli tylko kto. Chociaż niektórzy przypuszczali, że część parobków biorących okup u weselnych bram, bez bojaźni mogłaby wsiąść na te pomieszane z chłopskimi szkapami wierzchowce. Ale jeśli na tych koniach przyjechali ci dodatkowi parobcy, pilnujący weselnych bram, musieli się również na nich zjawić dostojniejsi goście.

Tu, przypominając sobie usilnie, wszyscy doszli do przekonania, że wprawdzie starosta weselny był tym samym wójtem w krymce, w węgierskich butach, z laską o miedzianej gałce, z głową podobną do głowy sokoła, jak również jego głos był głosem wójta i weselnego starosty równocześnie, ale to, co powiadał, zbyt pięknie układało mu się w litanię. Również ojcowie błogosławiąc młodą parę wyglądali tak, jakby te błogosławiny czynili wszystkimi bochenkami chleba, jakie do tej pory wypieczono na wsi i jakie jeszcze będą wypieczone. To samo można by powiedzieć o młodej parze, o weselnych družbach, jak również o wszystkich weselnikach. Jednym słowem, ta garstka ludzi stojących pod sadem w pobliżu muzyki, siedzących przy weselnych stołach, przypominając sobie przebieg wesela, doszła do wniosku, że za wszystkimi weselnymi gośćmi stał ktoś drugi, podobny do nich, ale lepszy i piękniejszy oto, o co chce być lepszy i piękniejszy człowiek, jeśli bardzo chce.

Kiedy rozmawiający pod sierpniowym sadem zobaczyli dokładnie to drugie wesele stojące za tym pierwszym, a można powiedzieć, że zobaczyli jego słoneczną koronę, rozbiegli się pod drzewami, aby się przekonać, czy pod sadem oprócz chłopskich koni przeżuwają jeszcze te smukłe wierzchowce.

Nie znaleźli jednak obok swoich szkap tych wierzchowców o cienkiej pęcinie i o sklepionej szyi. Również gdy podchodzili do weselników, coraz

gęściej rozrzuconych w borsuczym śpiochu pod sadem, na stryszkach i w zapolu, nie zdybali wśród nich ani jednego obcego. Przeto jedynym świadkiem, że oprócz zwykłego wesela, działo się tu jeszcze inne, były te iskry na niebie. Ale i one w coraz wyraźniejszej jutrzni dogasały powoli. Niebo stawało się czyste, jak to zwykle bywa sierpniowego ranka, omiecione niemal do zieleni ptasimi piórami.

3

Muzykantom grało się coraz lepiej. Teraz nad ranem nikt by się nie ośmielił powiedzieć, gdzie są muzykanci, a gdzie skrzypce i basy, tak byli wzajemnie nachyleni w siebie. Nie ustawali też w graniu, chociaż wyjąwszy starszego družbę, nikt nie kwapił się, do tańca. Jeśli więc grali nadal, czynili to po prostu dlatego, że ciągle nie było im dosyć tego ich zmyślnego grania.

Ale kiedy również starszy družba zszedł ze zbitej z tarcicowych desek platformy i odprowadzając družkę do domu zaszył się w sad, skąd po chwili dochodziło jego pochrapywanie, ostatni raz pociągnęli smyczkami po strunach i opuszczając je wzdłuż bioder, pierwszy raz od wielu godzin spojrzeli po sobie. A spoglądając po sobie, zapragnęli się widzieć od wątrcby i od osierdzia. Bo jakoś im się nie godziło to niezwykle granie z tym, co widzieli w swoich palcach, w przegubach, w podbródkach, w pochyleniu głowy. Ale ponieważ mogli widzieć tylko to, co się widzieć dało, a pytać nie śmieli, odłożyli na ławę smyczki, skrzypce i basy i sięgając po jabłka wiszące nad nimi, pogryzali je milcząc.

A gdy dojedli jabłka, podeszli do basów. I podnosząc je z ławki, prymista za szyję, sekundzista za nóżkę, poczęli wytrząsać z nich grosiwo w kapelusz basisty. Oprócz miedziaków pomieszanych z drobnym srebrem, sypały się do kapelusza jabłuszka, liście i gałązki mirtu. Ale gdy im się zdawało, że w basach nie ma już ani grosza, w tym drewnianym brzuchu ciągle coś biegło. Przechylali basy i tak i siak, potrząsali nimi, nijak jednak nie mogli tego czegoś wytrząść. Dopiero gdy basista począł uderzać smyczkiem po grzbiecie basów, do jego kapelusza wyskoczyła mysz.

- O, cholera, mysz.

- A coś ty myślał. Słowika chciałeś mieć w tym kornikowym pudle czy jak? - rzekł prymista i sięgnął po skrzypce.

- No, no, takie basy i taki basista, a tu, patrzcie, mysz - dorzucił sekundzista i zabrał się do liczenia grosiwa.

Ale nie dane mu było podzielić pieniędzy na trzy równe części. Gdy je zsywał na stół i zabrał się do ich przeliczenia, spod sadu wyszli goście postronni. Jeden z postronnych gości wyjmując zza cholewy sprężynowy nóż podszedł do basisty.

- Coście mieli w basach?

- Pieniądze.

- Nie o pieniądze mi chodzi, ale o to, coście wytrząsali z basów po pieniądzech.

- A, po pieniądzech. Wstyd się przyznać. Mysz. Widać weszła tam, gdyśmy spali w dworskim brodle.

- Ty, basisto, się nie wymiguj. Mysz, powiadasz. A te wierzchowce między chłopskimi szkapami, ci parobcy zamyśleni u weselnych bram, ten starosta, niby wójt, a jakby patriarcha, a ojcowie, a młoda para, a te światła na niebie. To też mysz?

- Jakie konie, jaki znów starosta, chłopie. Spiłeś się i pleciesz.

- Może się i spiłem. Tobie nic do tego. Za swoje. Lepiej się przyznaj, coś tam trzymał w basach.

- Mysz, powiadam. Rudą, podobną do ciebie. Tyle ino, że nie podchmieloną.

- Ejże, muzykusie. Strzeż się, bo oberwiesz. Chłopcy, brać te basy. Nożami je, nożami! Po plecach, po brzuchu! Nie chce on powiedzieć, to powiedzą basy!

I zaczęli je ciągnąć między sobą. Basista za szyję, postronni za figurę. Wreszcie, gdy któryś z postronnych dźgnął je nożem, a one stęknęły, basista rzucił się na nich z pięściami. Próbowali mu przyjść z pomocą prymista i sekundzista. Ale gdy postronni jęli się dobierać do ich skrzypiec, uciekli pod sad. A że uciekali dalej, słyhać było po łamaniu chruścianych opłotków dzielących sad od pola.

Tymczasem basista zanim się podniósł z tarcicowej platformy, zanim zdjął z głowy załamane basy, pozbierał rozsypane grosiwo i otrzepał się z liści, u szczytu topoli wołała kukułka i wilga pod sadem gwizdała na burzę.

Pod tą kukułką, pod tą wilgą szedł basista z basami na plecach. A gdy szedł, tak się w nim myślało tajemnie, bo sam do siebie mówić nie śmiał, że lepiej by było, gdyby się był przyznał. Bo i basy miałby całe, i samotnie do domu wracać by nie musiał.

A idąc tak i myśląc, nawet nie spostrzegł, że nadszedł nad kapliczkę świętego Rocha. Prawdę mawiając, był już nawet odrobinę za kapliczką, kiedy mu się przypomniało, że tu gdzieś w pobliżu stoi święty Roch. Zawrócił też z drogi, nie dlatego, żeby mu się chciało wracać, ale sobie wspomniał, że to, o czym wiedział, o czym myślał idąc, czego nie śmiał sobie rzec słowo po słowie, może teraz Rochowi powiedzieć. Najpierw jednak, na dobry rozmowy zaczątek, zdjął z pleców te załamane basy i zagrał mu na tych załamanym basach. Dopiero gdy osądził, że grania wystarczy, zaczął opowiadać.

- Tyś święty i ja święty. Wprawdzie ty od roli i od dobytku, a ja od tych basów, i to załamanym, ale tak już bywa, że jak ziemia obrodzi, to się ludziom zagra, a jak się ludziom zagra, to ziemia na pewno obrodzi. Jeśli nie zbożem, to dzieciškami. Ty masz smykałkę i ja mam smykałkę. Przy mnie ludzie tańczą, przed tobą zdejmują czapki. Ale oprócz tej smykałki jeszcze obaj mamy coś. Ty wiesz o tym i ja wiem o tym. A jeśli się coś wie, to się wie na pewno. A jeśli się wie na pewno, to tylko dla siebie. Przeto nie mogłem tym gościom postronnym powiedzieć o tych basach, które szły nade mną, kiedym spieszył na wesele, i stały nade mną, kiedym grał pod sadem. Sobie nawet

słówka o tych basach nie szepnąłem. Dopiero teraz przy tobie. A wiesz, dlaczego dopiero przy tobie? Wiesz, na pewno wiesz, tylko udajesz, że nie wiesz. A ponieważ wiesz, zagram ci, co zechcesz. A że ja też wiem, krzywdy ci nie zrobię, jeśli za to granie odprowadzisz mnie kawałtka. Przynajmniej do łąk. Skrzypiści mnie odeszli, a samemu źle wracać do domu.

I basista na dobre zabrał się do grania. Wprawdzie nie było to już tamto granie na bryczce cwałującej do kościoła ani to granie pod sadem. Basy były załamane i plecy miały przebite nożem. Przeto muzyka wyciekała z nich jak czarny piach. Ale basista byłby grał na tych poranionych basach nie wiadomo dokąd, gdyby nie ludzie idący do pola. Oni to, potrząsając za ramiona grającego nieustannie basistę, oderwali go od basów. Spytali go też:

- Czemuż to tak grasz, basisto? I to na tych poranionych basach? Patrz, ileś czarnego piachu ugrał. Cała droga jest nim po kolana wysypana. I burzę ściągnąłeś z widnokresu nad wieś tym swoim kulawym graniem.

- A bo, wiecie, to było tak: ja do niego powiadam, że on święty i ja święty, że on wie i że ja też wiem, a on nawet kawałtka odprowadzić mnie nie chciał. Tom się zawiązał i gram.

[Spis treści](#)



Osilek

1

Odkąd Michaś uratował tonącego w jeziorze plebańskiego źróbka i zaniósł go po pastersku, jak jagnię, do pobliskiego kościółka, aby razem z nim przyklęknąć w zakrystii i podziękować Stwórcy, wszyscy mieli chrapkę go pobić. Przede wszystkim jego rówieśnicy, szykujący się już do kawalerki gołębiarze. Oczywiście nie dlatego chcieli go pobić, że przyniósł tego źróbka do kościółka, zmusił do przyklęknięcia i podsuwając mu pod chrapy słone dłonie do lizania, uczył go pacierza. Owszem, uważali, iż uczynił słusznie, ucząc zwierzaka dziękczynnej pokory. Jeśli mieli ochotę napaść go i pobić, to dlatego że nie prowadził tego źróbka za grzywę, ale podniósł go z ziemi, posadził sobie na karku i idąc z nim pod sadami, zaniósł go do kościółka.

Zresztą już wcześniej, przed tym wypadkiem z plebańskim źróbkim, kilkakrotnie przyłapali go na tym, że od studni dwie konewki z wodą niósł w dwóch palcach - kciuku i wskazującym, jak kwartowe garnuszki z mlekiem. Poza tym nie zdarzyło się, aby pod jesień wchodził w korony drzew śliwkowych i stamtąd otrząsał je z owoców. Stał po prostu na ziemi i ujmując kilkuletnie damaszkowe drzewo obydwoma rękami potrząsał nim dopóty, dopóki ze szczytowej gałązki nie spadła ostatnia fioletowa kulka. To samo było z wbijaniem gwoździ do desek i z wyciąganiem pokrzywionych. Wbijał je

owiniętą w szmatę pięścią. Do wyciągania gwoździ z desek używał zamiast obcęgów dwóch palców.

Przeto chcieli go pobić. Nawet nie za to, że był taki silny. Zdarzało się przecież, że pod kościołem, gdy dochodziło do pogwarki z podrostkami sąsiedniej wsi o olbrzymim głazie leżącym pośrodku kościelnego placu, chłopcy powiadali, że ruszyć go z miejsca może jedynie Michaś. Trzeba tylko poczekać kilka lat, kiedy jego siła zasupła się dębowo w przegubach i w kolanach. Również niemal litanijnie wymieniali imię Michasia, gdy przychodziło do pogaduszki o urwanym z surowej gązwy dzwonie, leżącym na chórze. Któryś z chłopców rzekł nawet, że gdy Michaś dorośnie i będzie się wybierał w konkury, ten dzwon ubierze sobie zamiast krymki.

W Michasiu korciło ich to, że nie próbował z nimi swoich pięści. Nawet wtedy gdy na jesiennych łąkach przy wypasaniu koni witali się z nim, trzymając w prawicy zdechłą mysz, i wtedy gdy pieczone ziemniaki zsypywali do jego czapki razem z żarem. Mścili się też za ten dyshonor na nim.

Jakoż nie zdarzyło się, żeby w czasie skakania przez rozpalone ognisko nie podłożono mu nogi akurat wtedy, gdy przed wysokim płomieniem odrywał się od ziemi. Michaś jak kopka paździerzowych konopi upadał w środek ogniska. W niebo szły iskry. Konie pasące się w pobliżu rżały, jakby to z nieba spadał ognisty archanioł. W to końskie rżenie, w tę noc, po trosze karą i bułaną, po trosze od galopujących koni, od przelatujących iskiei, wyskakiwał ten Michaś, podobny teraz do słomianego pomiotła omiatającego ogromny piec niebieski po dopalającym się słońcu. Chłopcy pędzili za nim, polewając iskrzącą się na nim kurtkę przywiezioną z domu kawą. Ale nawet wtedy nie zabierał się do bitki. Gdy tłumiono tłącą się na nim kurtkę, gdy go otrzepywano z perzyn i z popiołu, przysiadał na ziemi i bijąc się rękami po szeroko rozstawionych udach, chichotał dopóty, dopóki konie przerażone tym jego chichotaniem nie zaczęły na powrót rzeć, dzwonić wyjętymi z pysków werblikami i uciekać w pobliski las.

Tylko raz udało się chłopcom podjudzić go do bitki. Nie była to nawet bitka. Jak na bitkę trwała zbyt krótko. Zresztą akurat wtedy nie chodziło chłopcom o rozjuszenie osiłka. Po prostu chcieli sprawdzić, czy dworscy koniuchowie mieli rację opowiadając "to" o koniach. Oczywiście nie bez złościwości wybór padł na siwą trzylatkę Michasia.

Kilku chłopców oddaliło się niepostrzeżenie od ogniska. Pozostali natomiast zabawiali Michasia, opowiadając mu o zbożach, które ponoć kilkadziesiąt lat temu, w czasach morowej zarazy, zamiast kłosów rodziły miedziane jaszczurki, o sadach, które pod jesień zamiast jabłek sypały w podstawione czapki i fartuchy ropuchami z sękatego złota, i o studniach, z których nieustannie szedł dym o posturze błękitnej pasyjki. Opowiadający próbowali jeszcze przekonać osiłka, że w pobliskim lesie, w jego borsuczej cieśni rośnie buk, który w sobótkową noc rodzi szewrowe buty z wysokimi żółtymi cholewami. Chłopcy chcieli jeszcze opowiedzieć Michasiowi o rzece spływającej z niebios złotogłowiem i tłoczonym adamaszkiem, gdy w ich

opowieść wdarło się rzenie odzieranego ze skóry konia. Rzenie to nasilało się, to ucichało. Zależnie od tego, czy galopujący koń zbliżał się po nieforemnym kole do ogniska, czy też był zarastany przez pobliskie zagajniki.

- To moja siwka - szepnął Michaś. - Coście jej zrobili? - I ściągając na tył głowy czapkę, pobiegł w stronę galopującego w karej nocy konia.

Teraz do rzenia siwki dołączyły się niemal ojczenaszkowe prośby i cmokania, przypominające wigilijne siorbanie, biegającego osiłka. Trwało to dosyć długo. W każdym razie zanim Michaś zjawił się u ogniska, prowadząc za kantar swoją siwkę, z żaru zdążono wyjąć wrzucone tam w czasie opowieści ziemniaki. Kiedy chłopcy zabierali się do jedzenia ziemniaków, z siennej nocy w światło dogasającego ogniska wszedł Michaś, prowadząc za sobą trzymaną krótko u pyska klacz. Przystanął tuż obok jedzących chłopców. Stał na szeroko rozstawionych nogach, bo klacz potrząsała łbem, próbując się wyrwać z jego garści. Na siwce falowała zmydlona do białego potu skóra.

- Który jej to zrobił?

Żaden z chłopców się nie odezwał.

- Który jej to zrobił? - spytał Michaś jeszcze raz. - No, skurwysyny, przyznajcie się. Bo każdemu po kolei wcisnę ten wiecheć pokrzyw tam, gdzieście jej wsadzili. Wtedy któryś z chłopców mruknął:

- Spróbuj.

I wszyscy rzucili się na osiłka.

On natomiast, wsparty plecami o klacz, nawet się, nie bronił zbyt pośpiesznie. W każdym razie przez cały czas tej szamotaniny nie wypuścił z ręki trzylatki. Podnosił jedynie na wysokość twarzy atakujących chłopców zwiniętą w dębową pięść prawicę i na wysokość ich pośladków obute w juchtowe trzewiki nogi. Gdy atakujący leżeli na ziemi, podchodził do każdego po kolei, podnosił z łąki, obcierał z krwi jego twarz, podprowadzał za czuprynę do już uspokojonej klaczy i głaszcząc chłopca po głowie, powiadał pieszczotliwie:

- Przepróś ją. Nie leż do pyska. Do przeciwnego końca, bliżej. Nie bój się. Nie kopie. Całuj. Obetrzyj pysk i całuj. Nie umiesz? Poczekaj. Zaraz cię nauczę. No widzisz, jakie to proste. Wcale nie trzeba być Salomonem.

Wprawdzie kilku chłopców zdążyło się zerwać z ziemi, dopaść koni, wsiaść na nie i pogalopować do domów, ale pozostali, bardziej pokiereszowani, musieli po kolei całować Michasiową klacz.

Od tego też czasu żaden z rówieśników osiłka nie próbował go podjudzać do zaczepki. Owszem, jeśli ktoś na weselu, w karczmie czy też na jarmarku zabierał się do bitki, z tłumu wypychano Michasia. A on, stojąc przed bitnikami na tych nożyskach z dębowych odziomków, nieodmiennie powiadał:

- A moja siwka galancie dziś wyszczotkowana. Można całować a całować.

Zgubiła się za Michasiem w lesie, w płowym zbożu, w białej koniczynie ta wilga zielona, ta szara kukułka, ta przepiórka bosa. Bo nawet on, ositek, podobnie jak jego rówieśnicy, miał również swoją wilgę, kukułkę, przepiórkę. Teraz ich już nie ma. Wydoroślał. Jego ręce mocniejsze od łapy niedźwiedziej, jego szyja zgrubiła do szyi bawołu, nogi jego związane w kostkach i w kolanach miedzianym pierścieniem i guzem miedzianym - wypłoszyły z jego głowy, z jego osierdzia te ptaki z odpustu, ze zbóż i ze snu.

Natomiast wieś miała z niego coraz więcej pożytku. Kiedy wezbrana rzeka urwała prom z karonki i poniosła do ujścia, aż do czasu zbiccia nowego promu Michaś, idąc pobliskim brodem, prznosił przez rzekę to proboszcza jadącego do konającego, to wójta wiozącego do powiatu poletek słoniny, to starostę spieszącego do dworu z kanarkiem w jasełkowej klatce i wywożącego od dziedzica gąsiorek śliwowicy i dożynekowy wieniec.

Z tego powodu sława Michasia rozeszła się po całej okolicy. Zwłaszcza od czasu kiedy to, wstydząc się czy też nie śmiać wziąć młodej dziedziczki na barana, wszedł pod lekką bryczuszkę i biorąc ją na plecy przeniósł z jaśniepanią na drugi brzeg. A ponieważ ze wsi leżącej po drugiej stronie rzeki prznosił również matki chrzestne z niemowlętami, wieś nadała mu przydomek Michasia Chrzciciela.

Gdy wreszcie zepchnięto na rzekę nowo zbudowany prom, Michaś nie bardzo miał co robić. W każdym razie wieś zaczynała powoli zapominać, że wśród niej żyje ositek. On również jakby przyłożył węgielnym kamieniem, zakopał pod ziemią drzemiącą w nim, podobną do spętanego ogiera siłę, coraz częściej wychodził o zmierzchu pod sad i patrząc spod gałęzi aż gdzieś za pobliski las, uderzał się z uciechy rękami po udach, uśmiechając się przy tym.

Gdzieś na początku czerwca, na pewno było to w czerwcu, bo poprzedniego dnia z rozpierającej go uciechy zepchnął z pagórkowatej drogi drabiniasty wóz pełen siana w zażabiony staw, wyprowadził pod sad siwkę, przecesał jej ogon i grzywę, wplótł w nią kilka kolorowych wstążek i wskakując na grzbiet konia wprost z ziemi, odjechał w stronę pobliskiego lasu.

Po tygodniu ludzie ze wsi zaczęli szeptać, że Michaś się żeni. Nie wiadomo dokładnie z kim, ale poniekąd pod kościołem pokazywali sobie nawzajem malutką dziewczynę, podobną do jednej ze świętych z polnej kapliczki, ponoć córkę sołtysa z tej najbliższej śródleśnej wsi. Sam Michaś, gdy go rówieśnicy nagabywali o dziewczynę, nie odpowiadał, przeciągając się jedynie niby to od niechcienia w barach. Niemniej jednak po paru tygodniach wszyscy wiedzieli, że Michaś żeni się z sołtysówną. Przestał zupełnie przychodzić do karczmy, gdzie za kwaterkę wódki, ku uciechu i zdumieniu pijących, podnosił bez wysiłku dwie dwudziestopięciokwartowe beczki piwa, biorąc je za wręby końcami palców.

Natomiast co noc widziano Michasia, jak z dworskiego lasu dźwigał na ramionach po dwa dębowe odziomki. Po tygodniu zaczął to zniesione drzewo

razem z dwoma cieślami obrabiać pod sadem. W krótkim czasie na miejscu starego, zburzonego domu złocił się w słońcu i czerwieniał w deszczu wyprowadzony pod choinową wiechę budynek. Aliści ku radości zazdrośników zapomniano w pośpiechu pod ten najokazalszy we wsi dom dać przyciesi. Sądzono powszechnie, że dom trzeba będzie rozbierać i zaczynać jego składanie od nowa.

Jakież było zdziwienie tych, którzy przejeżdżali koło obejścia Michasia i widzieli, jak on, biorąc dom za narożne węgły, podnosił go do góry, a cieśle wpychali pod ściany grubo ciosane przyciesie. Teraz, po zbudowaniu przez Michasia domu, cała wieś czekała na wesele.

Jednak wesele jakoś się nie rozkręcało. Jedni powiadali, że sołtys nie chciał się zgodzić na oddanie córki uboższemu od niej, inni natomiast twierdzili, że Michaś, idąc o zmierzchu do swej lubki przez łąki, zdybał ją, jak w kopce potrawu gziła się z synalkiem dziedzica. Sam Michaś nagabywany potrzasał głową i nieodmiennie się uśmiechał.

Dopiero znacznie później, popijąc z koleżkami w karczmie, opowiedział im sumiennie, o co poszło. Otóż przed daniem na zapowiedzi, chcąc zrobić swojej lubce niespodziankę, zakradł się nocą do jej komory i zawijając ją w pierzynę, wyniósł dziewczynę jak nowo narodzone jagnię najpierw pod sad, a ponieważ pod sadem coraz głośniej piekliły się pospuszone psy, pobiegł z pierzyną pod pachą w pobliski zagajnik. Z zagajnika wyszedł na polankę i złożył zawiniątko na kopce leśnego siana. A ponieważ poruszone siano zaczęło pachnieć coraz natarczywiej gorącym ciałem, paprocią i stajnią, a sołtysostwo nie pozwalało przebywać sam na sam z lubką, osiłek rzucił się na zawiniątko i zaczął je coraz gwałtowniej ścisnąć.

Gdy się zorientował, że zamiast dziewczyny ścisną sołtysa, było już za późno. Zwłaszcza że sołtys niesiony w gorącej pierzynie, wyściskany setnie, nie mógł się podnieść z siana o własnych siłach. Jakby ociupinkę miał przekrzywioną szyję, jego ręce zaś zwisały bezwładnie w przegubach. Gdyby Michaś od razu był uciekł, sołtys nigdy by się nie dowiedział, co się stało. Zwłaszcza iż sądził, że to krążący po okolicy Cyganie weszli do komory na rabunek i biorąc, co popadnie, zawinęli go w pierzynę i niosą do pobliskiego miasteczka.

Ale Michaś, przerażony swoją pomyłką i despektem, jaki mimo woli uczynił przyszłemu teściowi, zaczął mu nastawiać zwichniętą szyję i masować obolałe przeguby. Gdy sołtys przychodząc do siebie spostrzegł, kto go wyniósł zawiniętego w pierzynę, a do tego domyślił się, że to nie o niego chodziło, zwymyślał osiłka od końskiego pomiotu, dodając na dobitkę, że takich zalotników jak on jego córka może mieć na mendle. Powiadał, że wystarczy jej przejść przez wieś w wiśniowej tybetce, wrócić do domu, posypać słupki sztachetowego płotu lubczykiem, a o zmierzchu na każdym słupku, i to na jednej nodze, będzie stał kawaler.

Michaś oczywiście nie pozostał sołtysowi dłużny, nazywając go równie pieśczośliwie, dokładając mu przy tym za każdy słupek po kuksańcu. A

ponieważ sołtys po tej pogwarce na powrót upadł w siano, Michaś zawinął go w pierzynę, zawiniątko przerzucił sobie przez plecy i pogwizdując poszedł w stronę sołtysowego domu. Tu, aby mieć pewność, że sołtys żyje, wylał na niego kilka konewek wody. Ponieważ sołtys zaczął się poruszać i prychać, odpędził się od atakujących go psów, wszedł w las i na przeprostki skoszonymi łąkami powrócił do domu. Od tej pory nie był już u sołtysa.

Sołtys natomiast, nie chcąc się przyznać do nocnej przygody, rozpowiadał po wszystkich jarmarkach, weselach i pod kościołem, że parobcy ze wsi osiłka, a zwłaszcza sam osilek, mają to, co powinien mieć dobry chłop, na amen zawiązane na supeł. Powiadał, iż przypadkowo spostrzegł to w porę, inaczej jego kmiecy ród skończyłby się na nim.

Gdy sołtysowi pokazywano pod kościołem całe gromady dzieci ze wsi Michasia, uśmiechał się przebiegle, ruchem głowy wskazując to na dziedzica, to na dziedzicowego synalka. Nie ominął też pisarza gminnego ani organisty. Ba, całą dłomią wskazał na przechodzącego akurat przez kościelny plac młodziutkiego, podobnego do Jana Ewangelisty, wikarego. Samego Michasia przypisał dzielności odpustowego kuglarza, pokazującego kilkanaście lat temu, ile wiorst adamszkowej wstążki można wysupłać z ucha małego niedźwiedzia i w jaki sposób beczkę wody przemienia się w arak.

3

Wprawdzie sołtys miał po trosze rację, bo wielu parobków ze śródleśnej wsi pożeniło się z co bogatszymi pannicami ze wsi osiłka, ale przecież parobkowie ze wsi nadrzecznej również uszczknęli niejedno jabłko pod sadami i w sadach śródleśnych. Nic też dziwnego, że sołtysowe gadanie rozjuszyło całą wieś. W każdym domu, a zwłaszcza w dworskiej karczmie, gdzie najłatwiej można się było zejść nad garncem siwuchy czy też butelką araku, obmyślano zemstę.

Co zapalczywsi chcieli biec natychmiast do śródleśnej wsi, pościnać wszystkie dynie, łożące po polach, po płotach i strzechach, i powrzucać je do studni. Inni natomiast proponowali, żeby śródleśną wieś odgradzić wysokim wiklinowym płotem od dróg i od ścieżek prowadzących do kościoła, do pobliskich targowych miasteczek, a zwłaszcza do tej najlepszej parafialnej karczmy. Co mądrzejsi natomiast radzili, żeby jeszcze poczekać, wszystko dokładnie przemyśleć i spenetrować. Wedle ich pomysłu zemsta była wprawdzie dokuczliwa, ale wynikające z niej szkody łatwe do usunięcia, ponieważ studnie w śródleśnej wsi, stojące na podskórnych tętnicach, były płytkie. Dynie zaś jeszcze niedojrzałe. Wrzucane do tak płytkich studni, na pewno by nie popękały. Również płot, nawet najwyższy, był wprawdzie trudny do przeskokowania, ale łatwy do obalenia i obejścia.

Przeto za zgodą całej wsi postanowiono obmyślenie zemsty powierzyć pomysłu sołtysa i ławników. Przez cały czas, kiedy gromadzka rada obmyślała zemstę, nikt z nadrzecznej wsi nie chodził na odpusty, nie wyjeżdżał na jarmarki. Nawet tercjarze przestali chodzić do kościoła.

Jakoż nie mogło być inaczej. Ludzie z okolicznych wsi na widok ludzi ze wsi nadrzecznej (a rozpoznawano ich po skośnych oczach i po włosach sownie smarowanych miętusim sadłem) wybuchali nieposkromionym śmiechem. Wystarczyło, że ktoś ze wsi nadrzecznej wszedł w opłotki wsi sąsiedniej, a za dwie zdrowaśki słyhać było śmiech ludzi pomieszany z ujadaniem psów, bekiem kóz i gdakaniem kur. Z tych powodów nikt ze wsi nadrzecznej nie odważał się wychylać poza opłotki ogradzające gromadzkie błonie. Do pól położonych poza tymi opłotkami przemykano się nocą, i to ostrożnie, idąc wikliną i coraz wyższą kukurydzą. Nazywało się to chodzeniem po zapieku.

Po tygodniu, kiedy pola były uprzątnięte z kukurydzy, a odrobieni ludzie wchodzili o zmierzchu pod sady, przerzucając z ręki do ręki co tylko zdjęte z patelni, smażone na słonecznikowym oleju kukurydziane placki, sołtys zwołał gromadę. Wprawdzie nie wszystkim przypadła do gustu obmyślona przez sołtysa i ławników zemsta, było więc sporo rwetusu, ale opornych ułagodzano, stawiając im z gromadzkiego funduszu go sztaganku rumu.

Zemsty na śródleśnej wsi miał dokonać Michaś. O niego przecież poszło. On też był najbardziej spostonowany. Mógł sobie wprawdzie dobrać do pomocy dwóch, trzech parobków, ale zdaniem sołtysa było to niepotrzebne. Trzech ludzi to już gromadka, a gromadkę widać z daleka. Jedna osoba natomiast może w każdej chwili stać się wędrownym grajkiem, parobkiem czy też przekupniem niosącym cudowną maść i cudowne obrazki.

Następnego dnia, równo z wieczorną gwiazdą, do śródleśnej wsi, ubrany w wysokie buty pożyczone u karczmarza, w czerwony kożuch zapinany na skórzane guzy, szedł łąkami, pogwizdując, osilek. Niemal do samego lasu odprowadzali go kolegusy. W wieś śródleśną, zaszytą ze strzechami w zagajniki, Michaś wszedł samotnie.

Tymczasem wieś śródleśna spała już w najlepsze, zagrzebana w siano, w pierzyny i kozie skóry. Michasia ten przedwczesny sen całej wsi nie zdziwił ani trochę. Chadzając do sołtysówny, wiedział, że wystarczy usiąść koło uchylonego okna, a spadające jabłka, migotanie świateł w koronach drzew usypiają nieostrożnego natychmiast. A wieś śródleśna lubiła być nieostrożna, zwłaszcza jeśli chodziło o sen. Szedł też bez bojaźni środkiem wiejskiej drogi. Wprawdzie psy, wietrząc obcy im, miętusi zapach, ujadły skacząc na karonkach, ale on uspokajał je szybko, pogwizdując starą pasterską piosenkę o kościach pełnych szpiku.

Kierował się w stronę sołtysowego domu, stojącego na uboczu tuż przy świerkowym zagajniku. Już był niemal przy ostatnich domach, kiedy zachciało mu się pić. O to pragnienie miał nawet żal do siebie. Bojąc się, żeby go nie opuściły siły, zjadł przed wyruszeniem na tę wyprawę o jeden bochenek chleba, kilka ryb i spory kawałek słoniny więcej niż normalnie. Nic też dziwnego, że pragnienie było większe właśnie o ten dodatkowy bochenek chleba, kilka ryb i kawałek słoniny. Poddał mu się też, zbliżając się do studni obłożonej dębowymi łupkami. Na osęce opuścił do studni drewniane

wiaderko. Ale ponieważ źródło było płytkie, w żaden sposób nie mógł zaczerpnąć tyle wody, żeby ugasić trawiące go pragnienie.

Gdy po raz trzeci sięgał osęką do studni, zadźwięczało jej dno. Dźwięk przypominał huczące butelkowe szkło. Spodobał się osiłowowi ten dźwięk. Może dlatego, że tak jak to dno dźwięczały co tylko wprawione w jego dom okienne szyby, i chyba również dlatego, iż sądził, że na dnie studni może być ten miedziany kociołek wrzucony gdzieś w tej wsi przez uciekających kozaków. Zaczął też coraz mocniej dźgać osęką w studzienne dno. Gdy mu się wydawało, że w drewniane wiadro wszedł nareszcie miedziany kociołek, wyciągnął je na osęcę ze studni. Wiaderko było pełne siwego یتu.

Wtedy ositek przechylił się przez dębową cembrowinę i spojrzął w studnię. Było w niej jaśniej niż uprzednio, kiedy na jej dnie stało źródło. Jakoż okazało się, że w zapamiętaniu, męczony pragnieniem i chęcią zdobycia miedzianego kociołka z talarami, wybił osęką studzienne dno. Wybił je dokumentnie. Studnia była teraz podobna do wyciętej w wysokim lesie na przestrzał przesieki. Taka była tylko różnica między przesieką a tą studnią z wybitym dnem, że jeśli przez przesiekę widziało się wieś po drugiej stronie lasu, to przez odbitą studnię ositek z łatwością dostrzegał swojego stryjka w Ameryce. Akurat stryj wtedy podnosił szpikulec, żeby dźgnąć pad łopatkę ogłuszonego byka. Byk padał na wykładaną białymi kafelkami podłogę rzeźni. Z jego rozwartego pyska szedł ostatni, podobny do pierzastego obłoczka kłęb powietrza. Nie dziwota też, że Michaś, przechylając się przez studnię, zaczął wołać przez zwinięte w trąbki dłonie.

- Hej, he-ej! Jak się masz, stryjku! Chcesz, to zejdę do ciebie. Pomogę ci. Jeno odrzuć ten szpikulec. Będę je walił między ślepia pięścią. Zobaczysz, ani jeden nie wstanie. Nawet na kolana.

Ale ponieważ stryj się nie odzywał, nie próbował też chwytać rzucanych mu przez Michasia jabłek, ositek bojąc się, że pobudzi gospodarzy, rzucił osękę, sięgnął jeszcze raz po wiszącą nad studnią, obsypaną jabłkami gałąź, szarpnął nią, aż jabłka zadzwoniły o dębowe okładziny studziennego wylotu, i pobiegł do sąsiedniej studni.

Szybko się uporał i z jej dnem. I również w prześwicie tej studni, jakby patrzył z kościelnego chóru, widział swojego stryjka. Zabijał nadal przeciskające się między żelaznymi drągami, świecące od potu i łajna zwierzęta. Ale nijak nie mógł się go dowołać. Nie pomagało wykrzykiwanie imion matki, ciotek, dziadka i starego proboszcza. Stryjek nie podnosił też głowy na wymieniane po kolei wszystkie imiona i przyzwiska lasu i rzeki.

Michaś dwoił się i troił. Biegał od studni do studni. Wybijał w nich dębowe dna. I wołał na stryjka. Ale stryjka było coraz gorzej widać. Zarastały go całe wzgórza powalonych zwierząt. Gdy Michaś odbił dno w ostatniej studni, nie widać było już nic więcej prócz błękitnego dymu.

W tym błękitnym dymie była niemal cała wieś. Również niebo nad wsią było zaciągnięte dymem. Nic dziwnego zresztą. Ze wszystkich studni dymiło się nieustannie. Całe szczęście, że od czasu do czasu wydobywał się również

plomień z tych studni. Tylko w jego odblasku, bo nie świeciła ani jedna gwiazda, ani jedna korona drzewa, Michaś jako tako widział wiejską drogę wybitą w piasku, zarys sadów i pod tymi sadami podobne do żytniej miedzi strzechy.

Idąc tą wsią oświetloną płomykami wydobywającymi się ze studni, zbliżał się ostrożnie do zabudowań sołtysa. Wprawdzie był już trochę przerażony tym, co uczynił, ale musiał przecież wykonać polecenie gromady. Poza tym miał nadzieję, że w sołtysowej studni ugasi trawiące go na powrót pragnienie.

4

Jak zwykle pierwsze spostrzegły to kobiety. Czym prędzej też poodgrzebywały mężczyzn z siana, powyciągały ich ze stajennych stryszków, ze stodół, pościągały z gorących pieców i wypłoszyły garnuszkami wody spod pierzyn i kozich skór. Wieś wprawdzie nadal była przesycona zapachem jabłek i suszonych śliwek, ale w powietrzu zamiast porannej jutrzni stał błękitny dym. W tym dymie nie widać było ani pobliskiego lasu, oświetlającego o tej porze niemal połowę wsi jak wielka naturalna latarnia, ani tym bardziej znacznie wyższego od lasu nieba.

Jednak nie ten las i te niebiosy zaciągnięte dymem były powodem babskiego krzyku i wyciągania z pierzyn i z siana zaspanych chłopów. Przecież często zdarzało się na jesieni, że wieś była niemal nie widoczna. Ale wtedy było wiadomo, że z lasu do wsi przychodzi mgła, a z łąk babie lato ze swoją lnianą i konopną przędzą. Teraz zaś wszystko najwyraźniej czuć było dymem, wprawdzie przypominającym palony jałowiec i gruszkowe drzewo, na którym najlepiej wędzi się śliwki, ale o innym zapachu i innym kolorze. Poza tym ten dym najwyraźniej wydobywał się ze studni.

Zanim się zorientowano, że wszystkie studnie mają odbite dębowe dna, zmówiono wiele zdrowasiek i wyśpiewano sporo pokutnych psalmów. Dopiero wtedy, mając za sobą Stwórcę, zaczęto sypać do dymiących studni piasek i glinę. Dym wprawdzie przestał iść, ale w całej wsi nie było wody. Na szczęście w środku wsi, zawieszony na okolicznych wierzbach, przypominający ogromną balię, zielenił się staw. Do tego stawu zapędzano porykujące z pragnienia bydło.

Gdy ludzie się uciszyli, a bydło, napojone, przestało porykiwać, dowiedziano się o zniknięciu sołtysa. Wieść ta dotarła do wsi koło południa. Jakoż dopiero wtedy odbito sołtysinę i jej córkę z domu. Same nie mogły się wydostać, gdyż drzwi i okiennice były pozabijane kilkucalowymi bretnalami, one zaś siedziały pad piecem skrępowane konopnym sznurem.

Wtedy zaczęto szukać sołtysa. Przetrząsnięto okoliczne zagajniki, spenetrowano najbliższą wiorstę lasu. Ale po sołtysie wszelki ślad zaginął. Kobiety coraz częściej zaczęły szeptać o czarownicach, które w środku lasu, w czerwonej rokicinie, miały swoje piekielko. Bo któż inny jak nie one mógł porwać sołtysa, który od kilku lat prowadził proboszcza pod baldachimem, przywoził z parafii święconą wodę dla całej wsi i zbierał grosiwo na kościelne

świece.

Dopiero pod wieczór plebański parobek, który przygalopował do śródleśnej wsi na deresz, uspokoił nieco przerażonych ludzi. Okazało się bowiem, że kościelny szukając na chórze obrazu świętej Kunegundy, przypadkowo usłyszał dolatujący spod urwanego dzwonu ludzki głos. Początkowo sądził, że to święty Piotr uwięził pod dzwonem jakąś potępioną duszę. Zbiegł też czym prędzej z chóru. Powiadomił proboszcza. Proboszcz, dobierając sobie dla kurażu kościelnego, mając przy boku organistę, samotrzeć, z kropidłem, ze święconą kredą wszedł na chór. Najwyraźniej ktoś wołał spod dzwonu. Pokropiono więc dzwon święconą wodą, zakreślono wokół niego kredowe koło i dopiero wtedy zaczęto wywoływać spod spiżowego kapelusza potępioną duszę.

Po parokrotnym zaklinaniu zorientowano się, że pod dzwonem ani chybi siedzi sołtys ze śródleśnej wsi. Ale proboszcz sądząc, że sołtysowi zmarło się w nocy i jego dusza nie może się rozstać z kościołem, nie chciał się zbliżyć do dzwonu i wysłuchać próśb wołającego. Jego głos słyszeć było dobrze, bo pod dzwon były podłożone dwie akacyjne łupki przeznaczone na konfesjonał. Dopiero kiedy sołtys zaczął śpiewać godzinki, a między godzinkami wymieniać z imienia wszystkich proroków i patriarchów, proboszcz wszedł w zakreślone kredą koło i dogadał się z uwięzionym. Okazało się, że w nocy, skrępowanego sznurami, przyniósł go ze śródleśnej wsi do kościoła Michaś i wsadził jak królika pod dzwon.

Jeszcze chciano z parobka wyciągnąć to i owo, lecz on, roztrzęsiony tym niezwykłym wydarzeniem, tym galopowaniem na oklep przez łąki, nie chciał już nic gadać. Powiadał jedynie, że proboszcz przysłał go tu po konopne liny, służące do ściągania masztowych sosen, i po kilku co silniejszych parobków.

5

Od tej nocy ludzie wsi nadrzecznej mogli wprawdzie chodzić na jarmarki, do kościoła, na odpusty, ale musieli nosić ze sobą noże i gnypy. Jeśli komuś było niewygodnie czy też nieporęcznie z nożem i gnypem, trzymał się przynajmniej w pobliżu grodzonego na wysokich kołkach płotu. Podobnie zresztą chodziła wieś śródleśna.

Na razie do większych bójek nie dochodziło. Owszem, zdarzało się, że ktoś ze wsi śródleśnej poturbował kogoś ze wsi nadrzecznej i na odwyrtkę, ale to się nie liczyło, podobnie jak się nie liczy bójek na weselach i na jarmarkach. Poza tym wieś nadrzeczna, syta zemsty, nie kwapiła się do gromadnego zwarcia. Natomiast wieś śródleśna czyniła wszystko, aby się zetrzeć. Przeto ludzie znad rzeki mieli się na baczności.

Większość też wsi nadrzecznej, w tym sołtys i ławnicy, nie mogła darować osiłkowi, że bez ich wiedzy powybił dębowe dna u wszystkich studni. Jego zadaniem, powierzonym mu przez gromadę, było uwięzienie sołtysa pod parafialnym dzwonem. On tymczasem z nadmiaru uciechy i siły pozbawił wody całą śródleśną wieś. Nie chodziło tu o ludzi. Oni dawali sobie

radę. Ale bydło, ganiane kilka razy dziennie do stawu, i to już ścinanego przez pierwsze przymrozki, poprzębiało się, straciło apetyt, chudło, a tym samym przestawało się doić.

Rada w radę, wieś nadrzeczna wysłała do wsi śródleśnej parlamentariuszy. Po całonocnych targach dogadano się. Zgodę zapito sownie w karczmie. Wieś nadrzeczna zobowiązała się pomóc wsi śródleśnej w kopaniu nowych studni. Sołtysowi wsi śródleśnej uchybienie na honorze wynagrodzono w ten sposób, że od tej spory tylko on dla obydwu wsi miał sprawiać kościelne świece. W zamian za to wieś śródleśna miała się wyrzec raz na zawsze zemsty, a zwłaszcza tego napomykania o zawiązanej na supeł męskości.

Wprawdzie wieś śródleśna domagała się dodatkowo ukarania osiłka jednoroczną banicją, zgodzono się jednak, że jeśli Michaś postawi całej wsi, od szesnastolatków do stuletnich starców, po sztaganku rumu, daruje mu się ten psikus ze studziennymi dnami.

Ale Michaś nie tylko nie chciał słyszeć o poczęstunku dla całej wsi. Do tego stopnia rozsmakował się w tym, do czego go namówiono, że nie było nocy, aby komuś ze śródleśnej wsi nie przemalował bydła przeprowadzając je z jednego końca wsi na drugi. Nie było też tygodnia, żeby nie rozebrał przynajmniej jednego wozu i nie wyniósł go po części na kalenicę stodoły, gdzie galancie poskładany ukazywał się rano oczom gospodarzy w drabinach, w snopkach, z dyszlem wskazującym odlatujące klucze dzikich gęsi

Kiedy wreszcie zabrał się do ściągania z siana, ze stryszków, a nawet z przymkniętych na skobel komór szykujących się pod weselny mirt panien i na śpiączki wynosił je do dziedzicowego synalka, do młodego organisty, a do tego jeszcze najbogatszemu we wsi gospodarzowi zwędził parkę pawia, sprzedając je, osobno pióra i osobno mięso, karczmarzowi z sąsiedniej parafii, tak że po pióra do weselnej czapki trzeba było jeździć aż do powiatowego miasteczka, sołtys wsi śródleśnej postanowił, że się go ukarze.

Traf chciał, że chcąc upokorzyć osiłka, pomyślano znowu o jego siwce. Dwóch parobków zmówionych przez sołtysa zakradło się w noc wigilijną do Michasiowej stajni. Bogobojnie przeczekali, aż siwka jeden jedyny raz w roku wygada się ludzkim głosem, chwając przy pomocy owsianych i siennych zdrowasiek siłę i dobroć osiłka, i zabrali się do dzieła. Zaokrągloną na kukurydzianych kolbach i na mlecznym sianie siwkę, wyzgrzebloną i wyszczotkowaną do cętkowanego żelaza, pomalowano zieloną farbą w łączki. Nad łączkami, które zaczynały się w połowie końskich boków i czepiając się wiklinowych zarośli schodziły pod brzuch siwki, wymalowano również zielone, bo porannie wiosenne, niebiosy z wiszącymi w nich tu i ówdzie jastrzębiami i kołującymi niżej czajkami. Na dodatek ucięto jej tuż przy knykciu sięgający pęcín ogon.

Nazajutrz i przez kilkanastępných dni obserwowano pilnie Michasiowe obejście. Widziano, jak do stajni nosił gorącą wodę i szare mydło. Domyślano się więc, że szoruje pomalowaną i oszpeconą siwkę. Nikt jednak nie

spozostregł, żeby się przy tym pieklił i odgrażał komukolwiek. Chodził jak zwykle po obejściu, nosił wodę w konewkach i siano naręczami, pogwizdując na siadające na eternitowym dachu, już upierzonym w pierwszy śnieg, pawiki i listonosze.

Zapomniano więc po trosze o Michasiu. Byli jednak tacy, którzy twierdzili, że to upokorzenie osiłka było upokorzeniem niedźwiedzia przez siadającą w jego kudłach muchę. Dopiero przed Nowym Rokiem, w Sylwestra, kiedy cała wieś, z wyjątkiem wylegujących się na przypieckach □ kalików □ i starców, wybierała się o zmierzchu do kościoła, Michaś przypomniał wsi o sobie.

Przed karczmą, stojącą tuż obok plebanii, zjawił się na siwce okulbaczonej w skradzione kozakom siodło. Ubrany był w czerwony kozuch, w wysoką barankową czapkę i w węgierskie buty sięgające po wiązania kolan. Wszedł do karczmy umyślnie się potykając o próg, żeby wszyscy zwrócili uwagę na brzęczące u obcasów posrebrzane ostrogi. A ponieważ i tak wszyscy spoglądali na niego, stanął pośrodku karczemnej izby na szeroko rozstawionych nogach i z rozmachem zabrał się do zabijania o pachy spierzchniętych na mrozie rąk. Kiedy uznał, że jego ręce od małego palca do kciuka odzyskały gibkość i zwinność małych zwierzątek, wtedy się odezwał:

- Co tak patrzycie? Nie widzieliście człowieka? Człowiek chce się napić, a ci mu u gęby wiszą. No, posuńcie się ociupinkę, kaszojady. Karczmarz! Kwartę wódki. No, widzicie, że nam dobrze razem. Cieplutko jak w kożuszonym rękawie i przytulnie jak w pszczelim ulu. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby mi nie brakowało kogoś. Jak myślicie, kogo tu brakuje, no?

Michaś rozglądał się wokół. Wszyscy wzruszali ramionami próbując się uśmiechać. Wtedy osiłek, odstawiając na szynkwias opróżnioną blaszankę, gwizdnął. W drzwiach karczmy zjawiła się siwka.

- No, chodźże. Zostaw panienom ze dworu to krygowanie się, te pańskie ceregiele. Siedzą tu te dziedzicowskie, plebańskie i wójtowskie utrzymadki, tym bardziej ty tu możesz wejść. Zaszczycisz ich nawet. A jak widzisz, twój ogon przepijają. To coś ci się chyba z tego należy.

I siwka, podnosząc łeb do stragarza, zadzierając ucięty po knykieć ogon, zbliżała się do wyciągniętej dłoni osiłka. Wzięła wargami podany jej ucięty z głowy kawałek cukru. Stała obok Michasia. Ten, głaszcząc ją pomiędzy uszami, rzekł:

- No, co tam z poczęstunkiem dla niej? Dorodna panna, w rucianym wianku panna czeka, a tu żaden kawaler z rumem się nie kwapi. Nie dziwota. Tacy to tam i kawalerowie. Pół portek na zadku, w portkach ćwierć kieszeni, a w tej ćwiartce dziur całe rzeszoto. No, to jeśli nie macie za co stawiać pannie, to przynajmniej się zbliżcie paluszki jej ucałować, do nówek się schylić. Ejże, jak to się chłopiska płonią. No, całować, całować. Po kolei. Całować. Panna czeka. Panna nóżką przebiera.

I Michaś, biorąc za kark pierwszego z brzegu parobka, zmusił go do przyklęknienia przed siwką. Kiedy trzeci i dziesiąty otrzepywał z kurzu kozuch

i obcierał łokciem usta, ten i ów przemykał się chyłkiem popod ścianą i w drzwi, i w drzwi. Spostrzegł to osiłek. Podeszedł do drzwi i zarygłował je żelazną zasuwą. Ale również pozostali w karczmie spojrzeli, że Michasiem już lekko kołysze siwucha.

Kiedy osiłek, idąc od zarygłowanych drzwi, zbliżył się do któregoś z parobków, żeby go zmusić do przyklęknienia przed siwką, ten zwiniętą w kułak ręką uderzył go z całej mocy w skroń. Michaś zatoczył się, opierając się o bok siwki. Sięgnął po stojące na szynkwasiu kufle. Zaczął nimi rzucać w najbliższej stojących. Ci nie pozostali mu dłużni. Cała karczma była w iskrach pękającego szkła i giętego cynku, w trzeszczeniu łamanych ław i stołków. Jeden z kaganków wiszących u stragarza zgasł. Wtedy zabłysły powyciągane zza cholew noże.

Ale Michaś oparty plecami o klacz, z dębowym stołkiem w ręce, dawał sobie radę. Razem z zielonymi okiennicami wyleciały na pole okna. Za skrzydłami okien wyskakiwali w kłęby mrozu parobcy. I już zdawało się, że w karczmie pozostanie nie pokonany Michaś, jego koń i karczmarz, kiedy za szynkwasiu przeskoczył garbusek.

Tuż nad szynkwasiem widać było jego garb, czubek głowy i od czasu do czasu prawą rękę ściskającą gnyp. Ostrożnie jak szczur, ale coraz szybszym truchcikiem, zbliżał się za plecy osiłka. Jeszcze przez karczmę przelatowały ostatnie stołki i ostatni z pijących skakali przez wypchane na pole okna, kiedy nad Michasiem zaiskrzyło się i jeszcze raz się zaiskrzyło. W to iskrzenie się, zlewające się w jeden błysk, zwałił się Michaś. Nad nim, bijąc łbem o stragarz rżał koń.

6

Kiedy Michaś wyszedł z karczmy, było już po nabożeństwie. Majdan przed kościołem i kościelny plac ogrodzony sztachetami były zasypane niemal po kostki owsem. Na kościelnym niebie złocili się rozsypane garściami snopki pszenicy i prosa. Pod tym rozciągniętym wysoko złotem, po rozsypanym wigilijnie owsie szedł Michaś. Szedł ostrożnie, naga za nogą, opierając się całym ciałem o konia. Z uchylonych drzwi karczmy patrzył za nim starozakonny i zawieszona nad jego głową latarnia.

Drzwi kościelne były uchylone. Michaś najwyraźniej szedł do kościoła. Widząc to karczmarz próbował zawołać, ale przypomniał sobie, ile rozlał wódki i podał Inianych ręczników, zanim zatamował krew tryskającą z rozoranego boku osiłka, machnął ręką i zdejmując z drzwi latarnię, wszedł do karczmy.

A Michaś, opierając się nadal na siwce, wchodził już na drewniane kościelne schody. Jeszcze w otwartych drzwiach kościółka mignął jego czerwony kozuch, barankowa krymka i węgierskie buty z ostrogami, jeszcze zajaśniał cętkowany żelazem zad siwki, a już po chwili tylko postukiwanie kopyt po kamiennej posadzce kruchty świadczyło, że ktoś idzie przez świątynię. Zresztą i to postukiwanie wkrótce ucichło. Z rozsypanego po niebie

prosa i pszenicy prószył śnieg.

Pierwszy spostrzegł Michasia stary kościelny. Po prawdzie to nawet nie Michasia, ale jego siwkę. Dopiero gdy ze świecą w ręce zbliżył się do bocznego ołtarza, żeby wygonić z kościółka domniemanego plebańskiego żrebaka, tuż obok konia ujrzał klęczącego Michasia. Koń zresztą też klęczał, liżąc od czasu do czasu białą twarz osiłka. Kościelnemu wydawało się, że obydwaj, Michaś i koń, odmawiają pacierz. Osilek prowadził modlitwę, koń rżał cichutko, kiedy modlitwa się urywała. Nie była to jednak ani zdrowaśka, ani litania, ani psalm. Kiedy kościelny, zdmuchnąwszy oliwną lampkę, stanął tuż za klęczącymi, usłyszał ten niepodobny do żadnego pacierz:

- Chcieli mnie zadźgać, Ojcze. Przez Ciebie chcieli może zadźgać. Po co mnie było lepić z tej siedmiokrotnej gliny, wiązać tę glinę miedzią, hartować żelazem? Nie chciało Ci się, oj, nie chciało podzielić mojej gliny na siedmiu ludzików. Dać im zwinność łasicy i lisa przebiegłość. Jako tego niedźwiedzia z boru między nich mnie wpędziłeś. Dopóki byłem mały, to się ze mną bawili. Póki dla nich zdziwiałem, to mi stawiali wódkę. Ale kiedy zacząłem zdziwiać dla siebie, to mi oszpecili konia. A kiedy mi oszpecili konia, to mnie zrównali z mrówką. A ja nie chciałem być mrówką. To się musiałem bronić. A jak się zacząłem bronić, toś Ty, Ojcze, napuścił na mnie tego garbatego szczura. To mnie ten szczur chciał zadźgać. I już mnie prawie zadźgał. I już nie jestem niczym. Nawet tą mrówką. Bo nie obroniłem konia. A gdy nie obroniłem konia, straciłem honor parobka. A bez honoru nawet niedźwiedziowi żyć źle. To Cię proszę, mój Ojcze, ukarż mnie jeszcze bardziej. Daj mi siłę siedmiu niedźwiedzi i siedmiu dębów, i siedmiu wód. To samo daj mojej siwce. A jeśli nam to dasz, a ona i ja nie będziemy podobni ani do Michasia-osiłka, ani do Michasia-niedźwiedzia, ani do siwki-smoka, ani do siwki-królowej Saby, ani do grzywiastego wiatru, to Ci przyrzekniemy, że nie będziemy dochodzić swego honoru.

Zdziwiła kościelnego ta modlitwa. Po prawdzie to się bał jej słuchać. A ponieważ bał się słuchać, słuchał tym chciwiej. I nawet jeszcze wtedy słuchał, kiedy Michaś przestał się już modlić, a koń potakiwać łbem i rzeć cichutko. Dopiero kiedy zobaczył, że Michaś coraz bardziej przechyla się na konia, a pod nim czernieje coraz większa plama, szturchnął osiłka w ramię.

- Co ty robisz, chłopie? O Boże, a któż cię tak urządził? No, wstawaj, wstawaj. Poczekaj, pomogę ci. Musisz stąd wyjść. Zaraz tu przyjdą ludzie.

I kościelny, podtrzymując Michasia z jednej stromy, a koń z drugiej, powolutku, kroczył za kroczeniem, wyprowadzili go z kościółka. Kiedy wyszli na zasypany owsem i śniegiem majdan, osilek poczuł się lepiej. Udało mu się nawet o własnych siłach wsiąść na konia. Siwka ruszyła i noga za nogą poczęła truchtać w coraz gęściej syjący śnieg. Kiedy ich już prawie nie było widać, kościelny jeszcze krzyknął za nimi:

- A z tą modlitwą toś źle trafił. Tu się prosi o chleb. No, o dzieciaka najwyżej.

Od tego czasu mało kto widywał we wsi Michasia. Przestał bywać w karczmie, nie chodził do kościoła. Nawet przed własnym obejściem trudno go było zdybać. Jeśli go gdziekolwiek widywano, to jeżdżącego do lasu. Gdy się ociepliło, z pól zszedł śnieg, a z rzeki lód, Michaś przebywał w lesie całymi dniami. Z początkiem czerwca zamieszkał nawet w lesie. Nikt jednak nie wiedział, w której części lasu. Wszyscy też zapomnieli o nim.

Aliści w sobótkową noc, kiedy na wszystkich pagórkach paliły się ogniska, a przez ich coraz wyższy płomień skakali dorastający do kawalerki chłopcy, starsi zaś tańczyli przy skrzypcach i przy basach na okolicznych łąkach, w pobliskim lesie, tuż przed jutrznią, zadzwoniły werbliki, zarżał koń. Równocześnie w koronie lasu ukazało się słońce. Ukazało się tylko na mgnienie oka, po czym się zapadło. Niektórzy z tańczących na łąkach przysięgali się, że widzieli, jak ktoś ogromny wszedł po drzewach na niebiosa i łapą ubraną w skórzaną rękawicę sięgnął po słońce i jak jabłko schował je do kieszeni. Ludzie przestali tańczyć. Poniektórzy jeszcze chichotali i próbowali skakać przez ogień, ale większość upadła na kolana i śpiewała pokutne psalmy.

Gdy ucichły psalmy i co odważniejsi podnieśli się z klęczek, zauważyli, że nad okolicznymi wsiami czernieją ruciane i lubczykowe niebiosa. Natomiast dalej, tuż u widnokresu, którym schodziły się słomiane strzechy sąsiedniej parafii, słońce świeciło w najlepsze, i to ogromną dynią, weselnym kołem chleba, jaworowym kołem u wozu.

Wtedy też zdano sobie sprawę, że ten ktoś idący niebiosami ukradł tylko ich parafialne słońce. Przypomniano sobie też, że od dłuższego czasu było ono o wiele mniejsze od słońca stojącego nad sąsiednią parafią, nie mówiąc już o słońcu stojącym nad powiatowym miasteczkiem. Jakoż ich słońce było nie większe od złotej renety. Nic też dziwnego, że tak łatwo można je było zerwać z niebios i schować do kieszeni.

Ale nawet to jabłuszkowe słońce cieszyło wszystkich. A teraz ktoś je zerwał z korony lasu, schował do kieszeni i nawet nie myślał się zabrać do skosztowania, aby odrzucić za siebie przynajmniej jego ogryzek.

Tymczasem ciemności były coraz większe. Jeśli uprzednio blask ognisk był prawie niewidoczny w złotym powietrzu i na tle zielonego nieba, teraz ogniska widać było jak opuszczone do głębokiej studni naftowe latarnie. Ludzie też coraz częściej spoglądali w stronę domostw, skąd dochodził ryk przerażonego bydła, wrzask kobiet i płacz dzieci.

Wtedy to zobaczyli wszyscy, że środkiem niebios, ubrany w złotogłów, na siwce nakrytej kapą z adamaszku, w wysokich butach o żółtych cholewach, do których były przypięte pozłacane ostrogi, w tym średnim dzwonie na głowie, z maczugą w prawicy, której pałka była zrobiona z tego głazu leżącego na kościelnym placu, jedzie osiłek.

Wjeżdżał niebiosami nad łąki. Co chwilę bódł ostrogami boki siwki

popędzając ją do truchcika, i ściągał na jedwabnej uździe jej łeb, żeby szła tanecznie. Sam zaś starał się trzymać prosto w siodle nabijanym złotymi gwoździami i wykładanym obficie słoniową kością. Już był nad łąkami. Już słyhać było granie końskiej śledziony, klaskanie kopyt, dzwonienie werblików. Wtedy któryś z parobków nie wytrzymał i krzyknął:

- O, skurczybyk! To on nam ukradł słońce!

- A ukradłem! - huknęło z niebios. - I nie oddam. Zawiozę je królownie. A gdy jej zawiozę to wasze jabłuszkowe słońce, to się z nią ożenię.

Więć się odcięła osiłkowi, wołając:

- Ty koński pomioście! Odpustowy kundlu!

Poniekąd nawet sięgnęli po kamienie i rzucali nimi na niebiosa, próbując trafić jeśli nie osiłka, to przynajmniej zranić siwkę w cieniutką pęcinę. Ale Michaś już zjeżdżał z zenitu niebios, przechylając się wyraźnie ku północnej części widnokresu.

Wtedy pierwsze kobiety, a za nimi podrostki upadli na kolana i poczęli się modlić do tego osiłka jadącego przez niebiosa. Jakoż wydawała się, że nie jest to już Michaś, ale święty pański, rycerz. Gdy modlitwy nie pomagały, któreś z bachorów wrzasnęło piskliwie:

- Wujku, oddaj słońce! Jak oddasz słońce, to nie powiem tacie, żeś dał mamie korale i odpustowe serce!

Koń i na nim osiłek zbliżali się wprawdzie coraz bardziej do widnokresu, ale ludzie zauważyli, że Michaś sięga prawą ręką do kieszeni. Wyjął z niej słońce. Z tej odległości, w jakiej stali ludzie, nie większe od kukulczego jajka. I rzucił je za siebie.

Nad łąkami pojaśniało. W tej jasności zawieruszył się koń i Michaś. Ale słyhać było dobitniej niż "Veni Creator" w kościele jego huczący głos:

- Macie to wasze jabłuszkowe słońce! Królownę zdobędę w bitwie! Jadę na wojnę! Na wojnę! Na wojnę! Na wspaniałą wojnę! Tam jest moja królowna! A wam radzę iść za mną! Będziecie bogaci! Moja siwka łajni się kulami złota!

Spis treści



Sad

Jeszcze tej nocy jabłkami pachniał tylko sad. Nie było też obawy, że się coś stanie. Wprawdzie zapach jabłek przypominał po trosze wlewanie wosku do studziennej wody, odzieranie z kory świeżo ściętych grabów, zwózkę siana, po którym na łąkach pozostają dubeltowe kopce senności, ale to wszystko działo się nadal w wielkim koszu sadu. Również przez następny tydzień można było spokojnie przejść koło sadu, jeśli oczywiście nie patrzyło się w korony jabłonek. Takich zaś, którzy mieli czas spoglądać w korony jabłonek, zdaje się, nie było. Przez wieś szły żniwa: na toczonych sierpach, na

klepanych kosach, turkotały na poczwórnych kołach, tych zwożących zboże i tych, które raz wprowadzone w turkot ustawały dopiero w okolicach snu.

Tymczasem w koronach jabłonek już się błyskało. Między jabłkami, co tylko wyjętymi z czerwieni i złota, przelatywały iskry. Co chwila rozlegał się trzask przypominający zapalenie fosforowych zapalek o drelichowe spodnie. Nic też dziwnego, że korony jabłonek stały przez cały czas w dymie. Jeszcze po tygodniu te drobne iskry przelatujące między owocami zamieniły się w suche błyskawice. Nie było w tym zresztą nic nadzwyczajnego. Po prostu w ten sposób czerwone i złote jabłka dojrzewały do pestkowego rdzenia. Gdyby tych błyskawic nie było, żadna z pestek nie byłaby w stanie poruszyć się i zadzwonić w ogryzku, a tym samym wyskoczyć z ośrodku jabłka w ziemię i zakiełkować.

Wiedzieli o tym ludzie ze wsi. Również ptaki zdawały się mieć te błyskawice na oku, bo dopiero po ich dopaleniu się spadały na korony jabłonek, rozdziobując i rozrywając pazurami ociekające miodem i purpurą owoce.

Nie wiedział o tym, bo skąd miał wiedzieć, odpustowy niedźwiednik. A ponieważ do odpustu od tych błyskawic było jeszcze sporo czasu, on zaś ze swoim zwierzem sypiał obok wsi w stogu dworskiego owsa, tym dokładniej, bo z półwiorstowej odległości, widział i te iskry przelatujące między owocami, i trzaskanie ognia w koronach jabłonek, i wreszcie ów dym wiszący siwym sokołem nad sadem.

Korciło go też coraz bardziej, żeby wejść w ten sad, spenetrować, skąd się biorą te drobne iskry i te łokciowe błyskawice. Przy okazji zaś natargać pełne zanadrze jabłek. Nie było jednak w nim wędrownej śmiałości. Bez niej zaś można było wprowadzić od świtu do zmierzchu całą skórą czuć przepływanie przez rośliny i zwierzęta i miodu, i mleka, ale nigdy nie można ich było chęptać do utraty tchu, do dławienia się własnym językiem. Co więcej, ponieważ był on niedźwiednikiem, podejrzewał, że sad iskrzący się przed nim jest o wiele silniejszym zwierzęciem od jego niedźwiedzia. A ponieważ miał dosyć kłopotu ze zwierzęciem na łańcuchu, bał się tego zwierzęcia na powietrzu, przywiązanego, i to byle jak, jedną łapą do ziemi.

Dopiero wtedy, gdy sad przestał się iskrzyć i błyskać, a zapach jabłek rozlał się szeroko po słomianych polach, niedźwiednik poszturchiwany przez wylegującego się przy nim zwierza, wygramolił się z dworskiego stogu. Wprowadzić nadal bał się tego sadu, kiwającego się z boku na bok przed nim, ale prowadzony rzez niedźwiedzią łapę, szedł do niego pokornie.

Jeszcze obaj, niedźwiednik i niedźwiedź, byli w świetle padającym z owsianego stogu, jeszcze słyhać było polne myszy kołyszące brodłem, a już weszli w zapach sadu, w jego miody jabłkowite. Kiedy niedźwiedź zaczął porykiwać z trawiącej go oskomy, a niedźwiednik idąc w ślady zwierza co krok gwizdał na dwóch palcach, nie mogli już zawrócić. Nie myśleli zresztą o tym. Przeciwnie, im bliżej byli sadu, tym bardziej przyspieszali kroku. Tuż przed sadem nie można było ustalić, który z nich biegnie na dwóch łapach, a

który na czterech.

Wbiegli w sad. Na wypródki wspięli się na drzewa. Łasowali jabłka pełnymi garściami. Nagryzali je do ćwiartki, do połówki i rzucali za siebie. I znów łasowali nagryzając, aby jak najprędzej głód nimi nasycić. Oczywiście nie ten pospolity głód, kiedy z braku chleba zjada się korzonki, odłupuje młodą korę i we śnie się widzi mleczną kolbę kukurydzy w nowiu, ale ten królewski głód, z uciechy po chwalebnej bitwie, z rozmysłu po cielesnej uciecze przy boku królowej.

Gdy głód nasycili, poczęli się bawić. Pierwszy zaczął niedźwiedź. Nie dlatego, iż był zwierzem. Jeśli zaczął pierwszy, to tylko dlatego, że niedźwiednik zapomniał mu ubrać koszuli i spodni. Jakoż gdy się ma koszulę i spodnie, a choćby tylko pasek lub sznurkowe szelki, jest się stateczniejszym. Nic też dziwnego, że kiedy niedźwiednik, nasycony, zaczął myśleć o powtórnym nasyceniu, łasując jabłka do zanadrza i do wszystkich kieszeni, niedźwiedź zaczął nimi rzucać w niedźwiednika. A że na odpustach był rzucać uczony czerwoną kulą w ruciany wianek, a złotą kulą w zaręczynowy pierścień, raz za razem trafiał czerwonym jabłkiem w głowę, złotym jabłkiem w brzuch niedźwiednika. Porykiwał przy tym skacząc z jednego drzewa na drugie, obłamując gałęzie i targając liście. W każdym razie w czasie tej zabawy zdawało się, że w sad weszło całe stado niedźwiedzi.

A ponieważ niedźwiednik w przemykaniu z drzewa na drzewo nie mógł dorównać zwierzowi, a zabawa, owszem, przypadła mu do gustu, nie mogąc nadażyć w zrywaniu jabłek, coraz częściej sięgał po nie do zanadrza. Rzucił nimi w niedźwiedzia, starając się trafić w jego rozwarty do czerwonej zorzy pysk lub w słabiznę. Ale zanim jabłko wyważył w dłoni i wycelował mrużąc lewe oko, i śmignął nim w zwierza, niedźwiedź porykując z uciechy kołysał się już na gałęzi sąsiedniego drzewa.

Nic też dziwnego, że niedźwiednikowi, od tego rzucania jabłkami, od tego porykiwania rozbestwionego zwierza, od przeskakiwania tej rudej kopicy z gałęzi na gałąź, z wierzchołka na wierzchołek, zaczęło się kręcić w głowie. Jeśli przy łasowaniu jabłek do zanadrza widział jednego niedźwiedzia, no, najwyżej dwa, widząc przy tym do najdrobniejszego listka cały sad w czerwieni i w złocie, to teraz każda jabłonka porykiwała niedźwiedzio, rodziła niedźwiedzia, będąc już po trosze złotą lub wiśniową niedźwiedzicą.

Toteż po chwili stało się to, co się stać musiało. Nie był to już sad pośrodku wsi, lecz leśna gęstwina, do której on, niedźwiednik, mając dość ćwiczenia niedźwiedzia do odpustowego tańca, wszedł z oszczepem w ręce. Wszedł jako wojownik i jako myśliwy. I teraz oto rzuca tym oszczepem w te setki niedźwiedzi skaczących wokół niego, porykujących, tarzających się z bólu w jagodach i w grzybach. Za nim, za niedźwiednikiem, są wbite w ziemię całe laski oszczepów, całe zagajniki upierzonych strzał. Wyrwa je z ziemi, podnosi ostrzem do kukurydzianego nowiu i przez liście, i przez ptasie pióra, i przez ten czas, także upierzony, dzielący go od wojownika i od myśliwego, rzuca nimi w to idące borem czterolape piżmo.

I również niedźwiedź nie był już niedźwiedziem. Można rzec, był królem wylegającym się na pokosach miodu, rzucającym podobnymi do zielonych gałęzi wyrwanymi z dziupli plastrami miodu w starego marszałka, w papuziego pazia, w garbatego błazna. Zwłaszcza w tego błazna rzucało mu się najlepiej. Jakoż ten błazen siedzi na gałęzi i rękami zasłania i siebie, i swój garb, i to garbate królestwo, złote od nałożnic, czerwone od buhajów.

Prosi więc błazen tego króla wylegającego się na pokosach miodu, żeby miał na względzie jeśli nie jego osobę, to przynajmniej królestwo. Równocześnie poza siebie rzuca drobne ziele i modli się żarliwie wszelkim zmysłem i wszelkim ciałem, od kostek po ten garb wystający nad głowę, żeby ten pokos miodu pod królem zamienił się w torfowisko, w zażabiony staw. Ale król nie widzi ani tego drobnutkiego ziele, ani nie słyszy tej modlitwy całej w garbie. Babrze się w miodzie czterema łapami, wchodzi w ten miód po brzuch, po grdykę, po nozdrze. Porykuje przez ten miód, rzuca nim na sad, na bór i na niebo. Obok tego króla porykują niedźwiedzie. Nad nim niedźwiedzica ciągnie lniiany niewód snu.

Przeto niedźwiednik wchodzi w koronę najwyższej jabłonki. Razem z nim wchodzi po gałęziach złote i czerwone jabłka. Już jest u szczytowej gałązki, już razem z nim wchodzi tylko jedno, złote jabłko. Powyżej tego jabłka bieli się jedynie od pyłu i od ptasich piór odpustowa droga.

Po tej drodze uprzedzonej na krosnach z wielu lnianych ścieżek idą niedźwiednicy. Idą na odpusty, na jarmarki idą. Obok nich drepczą staruszkowato ich niedźwiedzie. I widzi niedźwiednik, bo u szczytu jabłonki, gdzie niebo bieleje, powietrze jest drapieżne jak jastrząb, że ci wszyscy niedźwiednicy, idący polnymi ścieżkami do tej polnej drogi prowadzącej przez niebiosą, są podobni do niego. Również ich zwierzęta przypominają jego zwierza. Zauważa także, że ta droga nad nim, upleciona z tylu polnych ścieżek, przypomina te wszystkie dróżki w kłaczkach sierści, w dymiącym łajnie, w gwizdkach i puszczalkach ptasich, które prowadziły go na jarmarki i na odpusty. I jeszcze widzi te odpusty i te jarmarki całe w brzozowych łapciach, w glinianych naczyniach. A z tych jarmarcznych miasteczek i z tych odpustowych wsi toczy się przez niebiosą czerwona kula i ruciany wianek. Ruciany wieniec trzyma młódka w rękach wzniesionych nad głowę. Przed nią, odchylony do tyłu w ciemniejszy bór, w cietrzewie wesele dziejące się w borze, stoi młodziak z czerwoną kulą w dłoni.

Wtedy niedźwiednik zauważa, że sad przestał porykiwać i przytupywać wielką nogą obutą w ziemię. Mógł to widzieć tak dokładnie dlatego, że z tej wysokości, na jaką wszedł, było widać wszystko do korzonka. Jakoż na tej wysokości było znacznie jaśniej niż na ziemi. Po trosze od łuny bijącej z koron drzew obsypanych rajskimi jabłuszkami i złotymi renetami, jak również od tej pogody, która podskoczyła nad sadem przynajmniej o wiorstę. Razem z tą pogodą, niejako jej pierścień, a z pewnością kłos, podskoczył również o wiorstę mleczy nów. Za przykładem nowiu poszły drzewa. Wyciągane z cholew smarowanych żywicą i dziegciem, rosły, jakby nagle wstąpiły na

szczudła. Toż samo stało się z okolicznymi domami i z kopicami zboża.

Jeśli więc niedźwiedź siedzący u szczytu jabłonki miał sporo powodów do radości, że mu się udało uciec od tego porykującego sadu, od niedźwiedzia przemienionego w króla, teraz widząc ten rosnący nieustannie sad, kołyszący się razem z nim od snu po prawicy do snu po lewicy, a tuż obok sadu dworskie stogi, powiększone do owsianych i do pszennych borów, i te domy za stogami podobne do plecionych z kłoci i z wikliny smoków, zaczął pojękiwać. Po trosze dlatego, że był cały w złotych i czerwonych cętkach od rzucanych w niego przez niedźwiedzia jabłek, i dlatego zwłaszcza, że siedząc na tej jabłonce rosnącej do szczudeł był coraz bliżej odpustowej drogi wybitej przez środek zapyłonych niebios.

Jakoż dopiero teraz widząc tę odpustową drogę, całą w ptasich piórach, w drobnych kłaczkach burej sierści, rozchodzącą się do jarmarcznych mięscin i do odpustowych wsi tysiącami ścieżyn, uczuł ból w kolanach i w wiązaniach stóp. Od tego tańczenia z niedźwiedziem po jarmaczym targowisku, po odpustowym placu, i od tych trzewców z żelaznego juchtu, które ułożyły jego stopy, tak jak się układa żróbki pod chomąto. I chociaż też trudno mógł wejść jeszcze na tę odpustową drogę wybitą nad nim po kostki, po kolana w pyle i iść po niej nie napastowany przez psy, zapragnął nagle, choćby ociupinkę, pochodzić po ziemi. Nie dlatego, że na ziemi łatwiej o kawał słoniny, o gomółkę sera i o glonek chleba, i o to grosiwo sypiące się w kapelusz. Owszem, to też nie chodziło polem i borem na przyboś. Jeśli na ziemi chciał pobyc choćby ociupinkę, to dlatego, że z tych niebios widział wszystko. A jak się widzi wszystko, to się nic nie widzi. I niby się jest człowiekiem, a widzi się więcej od siedmiorga ludzi i od ptaka jeszcze, i od psa, i od żuka idącego popod ziemią. A nie ma to, jak iść do małej mięciny, do wsi oślepionej do naftowej latarni, do ćmy-wdowy. I dopiero tam, na miejscu, mieć tę pewność w sobie, że się przyszło tu, gdzie się chciało przyjść.

Przeto począł wołać na niedźwiedzia. Ale w sadzie było cicho. Całe szczęście, że w tym sadzie było również jasno. Nic też dziwnego, że niedźwiedź przechylając się z jabłonki, a raczej z jej szczytem wychylony z niebios, dojrzał wreszcie swojego zwierza. Niedźwiedź najedzony, widać to było po brzuchu zaokrąglonym do faski, do weselnej dzieży, oblepiony złotym i czerwonym sokiem, z łapą w pysku, spał w kąciku sadu. Niedźwiedź począł go stamtąd wywoływać. Początkowo pohukując, później rzucając w niego zerwanymi jabłkami. Wreszcie niedźwiedź ugodzony jabłkiem westchnął przez sen i przeciągnął się w sobie. Razem z nim westchnął sad i przeciągnął się w zgrubiałych od rodzenia gałęziach. Aż po suche łokcie zatrzeszczały wiklinowe płoty.

Niedźwiedź ruszył w sad. Razem z nim to na dwóch, to na czterech łapach szedł sen. A raczej te dwa sny. Większy, w który wchodził sad, i ten mniejszy, z którego wygramolił się zwierz. I niedźwiedź był już w środku sadu, był już pod jabłonią, z której wychylał się i w niebo, i do sadu niedźwiedź.

Ale z wejściem na jabłonkę się nie kwapił. Dopiero kiedy niedźwiednik pokazał zwierzowi odbite w niebie pasieki, począł iść po drzewie. A jak już zaczął iść, znaczy się, był trzeźwy. A jeśli był trzeźwy, można było do niego to i owo rzec. A niedźwiednik chciał rzec wiele.

- Widzisz, zwierzu, jak urosłem. I jeszcze rosnę. Jeśli zechcę, to zejdę na niebiosy. A na tych niebiosach, jak sam widzisz, są wszystkie wsie i wszystkie miasteczka. A w każdej wsi i w każdym miasteczku jest odpust i jest jarmark. A na tych jarmarkach kielbas całe drążki i kiszek pełne kosze, i placków, i sera białe podkarpacie. A na tych odpustach jabłek złote wody i jagód, i grzybów paprociowe bory. A wszystkie wsie w sadach. A te wszystkie sady w wiorstowych pasiekach. A z tych pasiek w siwe dżieży dolin cieknie miód, niedźwiedziu. I to wszystko jest moje. I ja cię tam zabiorę. Ale zanim cię tam zabiorę, musisz mi pomóc, zwierzu. Musisz zejść na ziemię i przynieść osękę.

Ale zanim niedźwiedź wyjął osękę ze studni i wszedł z nią na jabłoń, niebo nad jabłonią znowu się podniosło właśnie o osękę. Próbował niedźwiednik sięgnąć nów osęką i niedźwiedź próbował. Nijak dosięgnąć nie mogli. Aby do nowiu było bliżej, włożył niedźwiednik na zwierza i zwierz na niedźwiednika. Ale także nie dosięgli nowiu.

- Jeszcze ociupinkę, a dałoby się bestyjkę zahaczyć. A tak nie ma co, trzeba iść do lasu. Tam drzewa masztowe. W lesie spróbujemy.

I pierwszy niedźwiedź jak po strzesze zjechał po jabłonce. Posypały się jabłka, liście i w tych liściach zagnieżdżone światło. W te syjące się jabłka, w te liście i w to światło stoczył się niedźwiednik. Spod sadu, przez korę jabłonki spojrzał w niebo.

- Aj, wysoko, wysoko. A miesiączek się iskrzy. Jak podkówka na lodzie. I jest coraz wyżej.

I wyszli z sadu. Idą po dolinie. Ale nie po tej, po której od wielu lat chodzili. Rozlał się po niej zapach jabłek i miodu, i snu. Przeto jest to już na poły ta ziemská dolina, a na poły ta ciągnąca się przez niebiosy. A niedźwiednik chce, żeby była ziemská, a zwierz pragnie, żeby się stała niebieská. Przeto idą do lasu. Każdy w innym celu. Ale idą. W lesie jest masztowe drzewo. Tylko z masztowego drzewa mogą sięgnąć do nowiu tą osęką wyjętą ze studni. I sięgnąć nów na ziemię. Bo to wszystko przez ten nów.

Niedźwiednik i zwierz są już w lesie. Z tego lasu, z jego czarnej korony słyszą ten głos biały. Biały, bielusieńki:

- Jeszcze ociupinkę, a dałoby się bestyjkę zahaczyć. Jeszcze ociupinkę.

[Spis treści](#)



Czytanie z oczu

Staruszka siedziała w sadzie. W samym środku sadu. W jego zielonym kojcu. Jeśli zaś uprzytomnimy sobie, że sad z dawien dawna ma to uchylenie w sobie, ów prześwit złociutki, zawsze gotowy na przyjęcie trzmieli, można rzec, iż staruszka siedziała w liściastej pasiece przypominającej scedzanie miodu do drewnianego cebra i przelot większych ptaków nad zmierzającą się wodą. Jeśli natomiast przez nas przeciągnie jeszcze raz to wczorajsze wesele i niedzielny festyn, i to sękate, połączone z targaniem liści, z łamaniem gałązek wchodzenie basów pod sad, na pewno pomyślimy, że przez to częste muzykowanie pod sadem sad po trosze przypomina liściastą basetlę. A wtedy jesteśmy w prawie rzec, iż staruszka siedziała w basetli, w jej wnętrzu huczącym od ciemnej, bo zranionej nożem i gnypem, muzyki.

Przeto wydaje się, iż sady posadzono rozmyślnie po to, aby w nich mogli przesiadywać staruszkowie. Jakoż młodzikom ledwie opierzonym sady są niemalże zbyt wysokie. Spoufalają się z nimi na jedno wesele, na festyn; na targanie owoców do zanadrza, na uciechę nocną z upalną frajerką. I wychodzą spod sadu, jak spod drewnianego dzwonu, zostawiając sad z połamanymi skrzydłami, z nożem wbitym w złote plecy, z krzykiem frajerki i zbudzonej sójki w podbitej kwaśnymi jabłkami koronie. Co innego staruszkowie. Niby to najzwyczajniej siedzą sobie w sadzie, a w istocie nie można spenetrować, czy staruszkowie tak złociście zasiedzieli się w sadzie, czy też sad, nachylając się w staruszków, dokumentnie posiwił i do cna zblękitniał.

Właśnie w takim to sadzie i tak, a nie inaczej siedziała staruszka. Patrząc na nią spod naszego domu, ledwie ją widziałem. Co chwila zasłaniały mi ją urywające się z korony sadu jabłka i upał wchodzący coraz wyżej po tyczkowym grochu, i dym idący z rozoranego do popiołu ścierniska.

Można więc rzec, że raczej przeczuwałem tę staruszkę w sadzie, niżli ją widziałem. Nie przeszkadzało mi to jednak w widzeniu jej twarzy coraz bardziej zachodzącej w roślinny sen, jej rąk jakby położonych obok zwierząt, które już odeszły, i jej nóg obutych w królicze bambosze. Oczywiście mogłem ją widzieć tak dokładnie dlatego, że często zachodziłem do jej domu, siadywałem z nią w sadzie. Ale do tego widzenia przez spadające jabłka, przez idący z pola dym dołączyło się ta drugie widzenie - po trosze ze snu, a po trosze z tej pilnowanej przed wszystkimi, podobnej do podwodnych roślin, dziecięcej tajemnicy.

Staruszka siedziała w sadzie. Całymi dniami siedziała w sadzie. Nie wychodziła spod sadu. Nie potrzebowała zresztą wychodzić. Pod sadem był cały jej dobytek: para kur, koza, pies. Obiadu nie gotowała. Jadła pieczone na blasze podpłomyki posypane solą i drobno posiekany czosnek. Popijała kozim mlekiem. I na niziutkim stołku siedziała w sadzie. W jesiennym sadzie.

Jakoż nie zdarzyło się, aby ktokolwiek ze wsi widział staruszkę w sadzie wiosennym czy też lipcowym. Staruszka do sadu wchodziła dopiero w końcu sierpnia, kiedy spod sadu wychodzi jednorożec i sadem nie ma się kto opiekować. A właśnie wtedy trzeba się sadem najpilniej opiekować. Choćby

dlatego że jednorożec naznosił do sadu starego złota i królewskiej purpury. I jeszcze dlatego, że właśnie wtedy korony jabłonek podbija gęsty jak kozie mleko zapach złotych renet i rajskich jabłuszek, i ten najmiłszy, przypominający dym ogniska i topionego wosku, zapach stygnących w cieniu liści i obłoków dzikich jabłek.

Właśnie na to wejście staruszki pod jesienny sad czekały dzieci z całej wsi. Oczywiście nie chodziło tu o staruszkę. Raczej o ten sad obsypany jabłkami, podobny do widzianego we śnie skrzydlatego anioła. A staruszka, wchodząc w sad po wyjściu z niego jednorożca, uchylała go niejako dla dzieci, pozwalając im raz do roku, pełnymi garściami, na jawie, targać jabłka ze skrzydlatego anioła. Tak zresztą, skrzydlatym aniołem, był nazywany przez dzieci ten sad.

To targanie jabłek z sadu, objadanie się nimi do utraty tchu, do kosmatej czkawki, nie uchodziło dzieciom bezkarnie. Gdy objedzone dziecko siadywało w trawie, zapadając się w wyższy od tej trawy sen, staruszka podnosiła się ze stołka i powolutku zbliżała się do berbecia. Podnosiła dziecko i z trawy, i ze snu, pociągając leciutko za jego czuprynę, i przechylała jego główkę tak, żeby światło padało mu prosto w źrenice. Z porażonych oczu ulatywał sen i sad-skrzydlaty anioł. A staruszka coraz bardziej nachylając się nad maluchem szeptała: - O moje niewiniątko, a któż ci takiego diabełka w serduszkę sprokurował? Albo: - Ty ruda bestyjko. Toś ty taka? Jeszcze twój pierwszy mężulek nie ostygł, a ty już się po zapłociach gzisz. I odpychając od siebie przerażone dziecko, dodawała: A jabłek sobie narwij, do zanadrza natargaj. Póki będziecie jeść moje jabłka, nic wam się nie stanie. W moich jabłkach jest sen.

I dzieci zapominając o tym, co im staruszka wyczytała z oczu, wspinały się na pochyłe jabłonki, targając do zanadrza nagrzone w słońcu owoce. Wprawdzie zdarzało się, że niektóre dzieci nie mogły sypiać po nocach, a jeśli już zasypiały, co chwila zrywały się ze snu krzycząc i próbując uciekać z domu. Ale były to dzieci bez rodziców, sieroty lub te zrodzone nie wiadomo z kogo, którym nie miał kto postawić za plecami anioła stróża, nie mówiąc już o drewnianym koziku, glinianym koguciku czy też o czerwonym koniu na biegunach. Nic też dziwnego, że właśnie te dzieci najdłużej nosiły w sobie wycytane z ich oczu diabełki, czarownice, próbujących iść do nieba pomylnych czy też podkościelnych dziadów.

Ale nawet te dzieci nie uciekały od staruszki. Owszem, przychodziły nawet częściej od tych, które za plecami miały jeśli nie anioła, to przynajmniej jakiegoś gołębia pawika, listonosza, dziką turkawkę. Po części było to zasługą coraz obfitszego macierzyństwa jabłonek, ale również te diabełki, pomyleńcy, laskonodzy dziadowie podkościelni mieli w sobie moc prawie ojcowską.

Właśnie tej jesieni, wchodzącej upalnie na tyczkowy groch, dymiącej niebiesko z rozkopanych kartoflisk, coraz częściej odwiedzałem staruszkę. Nie dlatego żeby mi ktoś ukradł mojego anioła. Po prostu dlatego że w nasz sad nie chciał wejść tego roku jednorożec i dlatego jeszcze iż byłem jedynym

dzieckiem we wsi, któremu staruszka nie czytała z oczu.

Patrząc na nią przez dymiące pola, przez błękitny upał, przez to złoto poruszone spadaniem owoców, widziałem w niej całą wieś, wprowadzie naszą, ale zamieszkałą przez pomyleńców, kuternogów, diabełków dworskich, plebańskich i chłopskich. Ci w jakiś sposób ułomni ludzikowie wylegiwali się w gorącym potrawie, w gładkiej słomie owsianej, w słońcu podobnym do rozgrzanego jęczmiennego brodła tuż nad rzeką, której dno było wyścielone albo lnianym płótnem, albo zielonym suknem. A diablikowie wywijali cepami, wytrząsali kłóc, robili kitki, poszywali nimi pokikłane czupryny słomianych dachów. Inni zaś, sprytniejsi diablikowie, co to bywali na dworskich pokojach i w plebańskiej kuchni, pitrasili na ogniu co przedniejsze jadlo i powolutku, warząchew za warząchwią, karmili nimi wylegujących się ciągle ułomnych ludzików.

Nic też dziwnego, że z trawiącej mnie oskomy ciekła mi ślina po brodzie. Rozmazywałem ją rękami po całej twarzy, chcąc się przynajmniej w częście upodobnić do niewydarzonego plebańskiego parobka. A gdy się podnosiłem spod sadu, aby spędzić z dachu gołębie, stawiałem nogi szcudlasto, jakby o mnie zawadził drabiniasty wóz.

Chciałem w ten sposób zwrócić na siebie uwagę staruszki. Jakoż wydawało mi się, że ona siedząc pod sadem nieustannie spoglądała na mnie. Wiedziałem wprowadzie, że staruszka nigdy nie poznaje dzieci po zarysie głowy, twarzy, po pochyleniu ramion, opuszczeniu rąk, a tym bardziej po chodzie. Dzieci rozpoznawała nieomylnie patrząc im w oczy. A ja, upodabniając się do jednego z najmniejszych wiejskich ułomnych, chciałem, żeby staruszka podeszła wreszcie do mnie, przechyliła pod słońce moją głowę i spojrzała mi w oczy.

Ale staruszce jakoś się nie spieszyło. Gdy przychodziłem do niej, rozmawiała ze mną o kozie, o psie, o dzikim czosnku, ale nigdy nie spoglądała mi prosto w twarz. Wprowadzie gdy schyliłem się po jabłko, kilkakrotnie spostrzegłem, że staruszka ukradkiem zerka w moją stronę, czyniła to jednak bojaźliwie. Początkowo sądziłem, że staruszka się mnie lęka. Byłem znany z tego, że pod jesień nie przepuściłem żadnemu owocowemu drzewu. Potrafiłem się również z gołymi pięściami rzucić na dorosłego parobka, jeśli ten próbował mnie skrzywdzić. Ale odkąd staruszka zaczęła mnie częstować najdorodniejszymi jabłkami i jedynie mnie pozwalała wchodzić na ulubioną gruszę, zacząłem się domyślać, iż starsi ludzie są szczególnie dobrotliwi dla dzieci, które czeka największe nieszczęście. Do spostrzeżenia tego doszedłem widząc, jak w domu karmi się najtkliwiej i najlepiej te ptaki i te zwierzęta, które po kilku tygodniach miały iść pod nóż.

Odtąd zacząłem dokuczać staruszce. Nie było dnia, żebym nie przychodził do niej. A jeśli nie mogłem przyjść do jej sadu, spod naszych jabłoni dawałem jej znać, że jestem drewnianą kołatką. Dokuczałem jej tym bardziej, im częściej, przymykając oczy, widziałem w sobie tę wieś zamieszkałą przez wylegujących się nieustannie ucztujących ułomnych

ludzików. Nie było dnia, abym zrywając z jabłoni co dorodniejsze jabłka do plecionej opałki, nie rzucał, niby to przypadkiem, najcięższym jabłkiem w siedzącą pod jabłonią staruszkę. Jabłko, zazwyczaj złota reneta (złoto godziło mi się najmilej z siwymi włosami), pękało na głowie staruszki, sypiąc się drobnymi kawałkami na jej ręce złożone na podołku. Staruszka wydawała z siebie krzyk przerażonej perliczki. A widząc, że to tylko jabłko, próbowała śpiewać o weselu w mircie, w toczonych kołaczach, w gorącym mięsiwie. A ja na postronku spuszczałem z jabłonki pełną opałkę złotych renet i ostrożnie, stopa za stopą, schodziłem w ten przypominający złoconą ropuchę weselny śpiew staruszki. Gdy przechodziłem obok niej, nie zdarzyło się, żebym nie nadepnął na psi ogon. Pies skomlał i ujadając, jakby w samo południe zjawił mu się w koronie jabłoni mleczny miesiącek, uciekał przez sad do drewnianej stodółki, rozsadzanej przez jęczmienne i pszeniczne snopki. Biegłem za nim, rzucając w jego skamlenie złotymi renetami. Pies się uciszał dopiero wtedy, gdy jabłka, sypiąc się przez słomę, płoszyły ze stodółki i myszy, i podobne do myszy, bo też popielate, cienie skoszonego zboża razem, z obłokami, z furkotem przelatującej nad tym koszonym zbożem przepiórki.

A gdy staruszka wychodziła z sadu, aby z pobliskiej stodółki przynieść gruszkę ulęgałkę, do jej garnuszka z kozim mlekiem wrzucałem kilka kulek żywicy, a jej chleb smarowałem jabłonkową miazgą. Staruszka wiedziała, że jej dokuczam. Groziła mi palcem, ale nigdy nie rzuciła we mnie wiśniową laską, nie próbowała też przyciągnąć mnie do siebie i uszczypnąć w policzki. Nawet nie przeklinała. Owszem, im bardziej jej dokuczałem, tym lepsza była dla mnie. W końcu doszło do tego, że od tego dokuczania staruszce dostawałem wypieków i z trawiącej mnie gorączki byłem niemal chory. Ale tym bardziej chciałem zmusić staruszkę do przechylenia mojej głowy i do spojrzenia w siwe listki moich źrenic.

Z sadu nitka po nitce wypruwano purpurę, w jego koronie tylko tu i ówdzie złociło się jabłko, a staruszka nadal się uśmiechała. Nie pomagały obmyślane przeze mnie psoty. Nawet próba sprzedaży sadu przejeżdżającemu przez wieś taborowi cygańskiemu spełzała na niczym. Cyganka, która przyszła targować sad, a przy okazji powróżyć staruszce, siedziała przed staruszką w wielkim kole spódnic, słuchając z przejęciem tego, co jej staruszka czytała z oczu.

Dopiero tuż przed pierwszymi przymrozkami udało mi się zmusić staruszkę do przechylenia mojej głowy. Jakoż dopiero wtedy zorientowałem się, że nie pies, lecz koza jest najbliższą jej istotą. Przeto nie mając innego wyboru, postanowiłem podpalić kozę. Właśnie z tym zamiarem zbliżałem się do jej sadu. Wszedłem w sad. Przywitałem się ze staruszką, pierwszy raz od dwu miesięcy całując ją w rękę. I zagadując wyciągnąłem z kieszeni pudełko zapalek. Zacząłem się nimi bawić. Koza stała tuż przy mnie przeżuając jabłko. Zażegłem zapalną i przytknąłem ją do koziej bródki. Staruszka była jednak czujna. Odtrąciła moją rękę z palącą się zapalną, gasząc równocześnie

tlącą się brodę kozy.

Teraz stała przede mną. Jej pomarszczona twarz, pełna sennych roślin i przelatujących ptaków, pochyliła się nade mną. Jej ręka, ułożona z dawien dawna do duszenia gołębi-młodziaków, do zabijania jednym uderzeniem w szyję królików, do patroszenia ptactwa, ułapiła mnie za czuprynę.

Powoli, wydawało mi się, że z czułością, przechyliła moją twarz do nieba. Spojrzała w moje źrenice. Poczułem, jak wstępuje we mnie podobny do żelaza chłód. Równocześnie tuż nad koroną sadu zobaczyłem zbite z desek stoły i ławki. Przy nich siedzieli ułomni ludzikowie. Ucztowali, wyciągając rękami wprost z saganów gorące mięsiwo, popijając z odbitych beczek jabłecznik i piwa. Między ucztującymi, ni to chodzące drzewko, zmyślne zwierzątko, ni to człowieczek, kręcił się jakiś cień. Gdy w owym cieniu zaczynałem rozpoznawać siebie, staruszka odepchnęła mnie z całych sił.

Upadłem w trawę. A ona stała nade mną. Śmiała się. Z każdą chwilą śmiała się coraz głośniej. Zataczała się od śmiechu. Przez ten śmiech, w tym sadzie podobnym do złotej pasieki i do huczącej basetli po trosze, zaczęła mówić. Początkowo z tego jej gadania, przypominającego krzyk drapieżnego ptaka, nic nie rozumiałem. Dopiero gdy spojrzałem w jej twarz, przez którą przelatywały pełne ryb wody i zielenie podszyte płowowłosą zwierzyną, a między tymi wodami i tymi zieleniami przebiegali, udając to ptaka, to anioła, to królową Sabę, pomyleni z naszej parafii, zaczynałem rozumieć każde słowo staruszki. Jeszcze dzisiaj, gdy zdarzy mi się przechodzić koło resztek wymarzniętego sadu, słyszę ostatnie słowa staruszki: - Poczekaj, Łazarz zaprosi się na ucztę! Poczekaj, obwiesiu!

[Spis treści](#)



Odwiedziny

1

Jeszcze w maju mógł iść do pola. Nie do tego pod tarniną, o kwaśnej glebie, a więc w polny sposób kulawego pola. Tam już nie mógł dojechać nawet na rowerze. Ale do tego za domem, o pszennej glebie, a więc w znacznej mierze weselnego pola, mógł dojść z powodzeniem. Podobnie jak do tego najlepszego pola, bez większego trudu mógł zajść do sąsiadów, do pobliskich krewnych. Również bez wysiłku, nawet godzinami, mógł iść, idąc w sobie, do winnic nad Piawą, do cerkwi w Kijowie i do tej niewoli we wrześniu, i do tej chłopskiej partyzantki po wrześniu.

A ponieważ najlepiej szło mu się nad Piawą, nad Styrem, nad Dniestrem, nikt go stamtąd nie śmiał wywoływać. Wszyscy nawet robili, co mogli, żeby jak najdłużej chodził w tamtych stronach. Bo też szedł wspaniale. Z

tornistrem, z karabinem na plecach, z bagnetem, z chlebakiem przy boku, w komiśnych trzewikach. Wchodził z tym wszystkim w zieleń, w płowe zboża, w bukową czerwień, z bukowej czerwieni w śnieg, w sędzielak, w mróz. I znowu ze śniegu w zieleń, w płowe zboża, w bukową czerwień i jeszcze raz z bukowej czerwieni w śnieg, w zieleń, w płowe zboża, w czerwień, i jeszcze raz, i jeszcze.

A jego kolegom tak się iść nie chciało. Zostawali w pierwszym płowym zbożu, topili się jak wosk w bukowej czerwieni, przyklękali na śniegu, szli mrówką pod zieleń. Tylko on wciąż szedł. Z tornistrem, z karabinem na plecach, z bagnetem, z chlebakiem przy boku, w komiśnych trzewikach. I nawet się nie zadrasnął o to płowe pole, o czerwień, o śnieg, o zieleń na sękach. Prawdę mówiąc, to nawet nie mógł się zadrasnąć. Bo kiedy o tym opowiadał, obok niego szło zawsze któreś z nas.

Opuszczaliśmy go dopiero wtedy, gdy wracał do domu. Tu, wśród nas, wolno mu było chodzić bez opieki. Zwłaszcza bez bojaźni, a nawet z ochotą pozwalaliśmy mu chodzić na jarmarki, do rzeźni. On też cenił sobie wysoko tę pieszą swobodę na przyboś, przynosząc nam pod pachą to buty, to kawał kiełbasy, a przynajmniej biały chleb z anyżkiem.

Gorzej natomiast było z chodzeniem do pola. Zwłaszcza do tego pod tarniną. Nie dlatego żebyśmy go tam nie chcieli puszczać. Wręcz przeciwnie. Godziliśmy się na to z ochotą. Ale on się nie chciał zgodzić. Wyciągał nas z siana, a jeśli byliśmy w nim zbyt głęboko zagrzebani, płoszył nas z niego albo konewką wody, albo groźbą, że od wylegiwania w sianie rozum nam się pomiesza. A gdy się nam rozum pomiesza, w żaden sposób nie będziemy mogli sobie przypomnieć, cośmy nagrzeszyli. A gdy sobie nie będziemy mogli przypomnieć, cośmy nagrzeszyli, nigdy nie znajdziemy tej wiśniowej furtki prowadzącej do raju.

Szliśmy więc razem z nim na to pole pod tarniną. A ponieważ nie chcieliśmy iść na to pole w oście, w ostrzycy, w lipcowym upale, wydawało się nam, że tylko my tam idziemy, a on został w domu, siedzi pod jabłonią lub wchodzi po szyję do pobliskiej rzeki. Urażeni tym, że on ma to kulawe pole, i tym, że nas do niego wyciągał, udawaliśmy, że go nie spostrzegamy przy sobie, kiedy po dwóch pokosach przysiadał na snopku i opowiadał nam o chlebowych drzewach rosnących nad Piavą, o figach, z których kapie miód, i głowach cukru zimnego jak lód. Siedzieliśmy obok niego pogryzając natarty czosnkiem chleb, popijając zbożową kawą. Czekaliśmy, kiedy zacznie mówić o tych żywych stawach przebiegających jeden do drugiego na tysiącach szczurów, o rowach pełnych zielonej wody i zabitych koni, o studniach, do których powlewano naftę. Udawaliśmy, że razem z nim saperską łopatką dokopujemy się do źródła w obsuwającym się nieustannie piasku, że mu pomagamy te ździebełka wody zbierać do menażki. Tymczasem wypijaliśmy z dzbanka prawie wszystką kawę. Gdy podnosił dzbanek, było w nim tyle kawy, ile wody w menażce. On wprawdzie tego nie zauważał, będąc ciągle tam nad Piavą. Ale myśmy wiedzieli, że nad tą Piavą przepływającą przez to pole pod

tarniną może mu się coś stać. Bo tylko wtedy nie byliśmy z nim. Ale on nawet wtedy, opuszczony przez nas, wracał znad tej Piawy. A kiedy nie musiał chodzić nad tę Piawę, bo nas nie było w domu, mógł jeszcze przez lat kilka chodzić na to pole pod tarniną. Pewnie tym łatwiej mógł chodzić na to pole, bo nie musiał z tego pola iść nad Piawę. I pewnie tym wolniej chodził na to pole, że tyle razy wracał do niego znad Piawy. I jeszcze wolniej, że nas z nim wtedy nie było. I już całkiem powoli, kiedy nas nie było przy nim ani nad Piawą, ani w domu. Ale jeszcze w maju mógł iść do pola. Nie do tego pod tarniną, o kwaśnej glebie, a więc w polny sposób kulawego pola.

2

Dopiero kiedy go przywieźli ze wsi do tego miasta, nie musiał chodzić ani do tego pola pod tarniną, ani do tego za domem. Obydwa te pola przyjechały razem z nim do miasta. Zresztą nie tylko pola. Również sad, dom pod sadem, pobliska rzeka i daleki las przyjechały z nim. O tym, że to wszystko przyjechało z nim, wiedzieliśmy od razu, niemal na progu, po pierwszych zamienionych słowach.

A ponieważ razem z nim przyjechały te rzeczy wielkie, można się było spodziewać również tych mniejszych. Jakoż w parę godzin później okazało się, że w naszym domu jest wszystko. Nawet ten kret ryjący o zmierzchu pod sadem, nawet gwóźdź wystający z krzesła.

Przede wszystkim jednak przyjechała z nim ta jego noga. Właściwie gdyby nie ta noga, nie byłoby potrzeby trudzić ani jego, ani tego wszystkiego, co z nim przyjechało. Gdyby nie ta noga, i on, i to wszystko, co z nim przyjechało, mogłoby siedzieć na wsi. Bo nie było potrzeby wybierać się do miasta. Przynajmniej wtedy, w czerwcu. On i to wszystko, co z nim przyjechało, mogłoby się wybrać do tego miasta później. U schyłku jesieni, na początku zimy. Przez tę nogę i on, i to wszystko, co z nim przyjechało, musiało opuścić tę przedźniwną wieś.

Ale i tak ucieszył nas ten przyjazd. Można powiedzieć, zaszczycił. Chociaż już wtedy wiedzieliśmy, że nie są to odwiedziny. To, że po tych odwiedzinach miał iść do szpitala, nie miało znaczenia. A jeśli miało, to o tyle, że razem z nim przyjechała ta jego schorowana noga. To ona miała iść do szpitala. On przyjechał w odwiedziny.

To wszystko, co z nim przyjechało, i do tego w czas przedźniwny, miało nadać jego odwiedzinom odświętny charakter. Powiększyć je i niejako pomnożyć przez sad, przez dom pod sadem, przez rzekę i przez las, i przez tego kreta ryjącego pod sadem, i przez ten gwóźdź w krześle.

Tak by się też stało, gdyby nie ta schorowana noga. Jakoż po paru godzinach okazało się, że jeśli my jego odwiedziny pomnożyliśmy wielokrotnie, o tym pomnażaniu nie zapomniała również schorowana noga. Do naszego rachunku dodała jeszcze to chodzenie nad Piawę, nad Styr, nad Dniestr. Wtedy też stało się wiadome, że sad, dom pod sadem, rzeka, las, te obydwa pola, kret pod sadem i gwóźdź w krześle przyjechały z nim z obawy

przed tym chodzeniem nad Piawę, nad Styr, nad Dniestr. Wyglądało na to, że ani on, ani my, ale to wszystko, co z nim przyjechało, wiedziało, że o tę schorowaną nogę przyjdzie się upomnieć to kilkuletnie przebieganie z płowego zboża w bukową czerwień, z bukowej czerwieni w śnieg i ze śniegu w zieleń. A kiedy o tę schorowaną nogę przyszła się upomnieć wojaczka z tornistrem, z karabinem na plecach, z bagnetem, z chlebakiem przy boku, biegnąca w juchtowych butach z płowego zboża w bukową czerwień, padająca w bukowej czerwieni, biegnąca w śnieg, ze śniegu w zieleń, spostrzeżliśmy dopiero, że to wszystko, co z nim przyjechało, też się upomina o tę schorowaną nogę.

Dopiero gdy ta wojaczka i ten dom zaczęły się upominać o tę schorowaną nogę, on, jako trzeci, zaczął się o nią bić. A kiedy spostrzeżliśmy, że on się o tę schorowaną nogę bije, zaczęliśmy mu pomagać. Ale nie mogliśmy mu pomóc, bo nie byliśmy na wojnie, a w domu jedynie, w dzieciństwie. Przeto z tą wojaczką i z tym domem musiał się bić sam. Widać było, że bije się najodważniej, na bagnety, na kosy. Nie przerywał nawet tej bitwy dla posiłku. Jedynie dwa razy poprosił o zmianę przepoczonej bielizny.

Przestał się bić dopiero wtedy, gdy ta schorowana noga zaczęła się upominać najpierw o wojaczkę, później o dom, a w końcu o niego. Tego jednak, że ta schorowana noga podejdzie znienacka wojaczkę dom i jego, nie mógł już przewidzieć. Jakoż nie przypuszczał, że ta schorowana noga rozmnoży się wielekroć do tych nóg biegnących nad Piawą, nad Styrem, nad Dniestrem i do tych chodzących po domu, pod sadem, nad rzeką i w rzece, idących do lasu, chodzących po lesie, po polu, i jeszcze do tych śmigających we śnie, wracających w gawędzie do wojaczki, do domu, do tej schorowanej nogi, ściskanej oburącz na tych odwiedzinach i przed tym szpitalem.

3

Sad, dom pod sadem, rzeka, las, pola powróciły na wieś. Pewnie by zostały, gdyby on przyjechał tylko w odwiedziny. Przeczekałyby te dwa, trzy dni gdzieś w kąciuku. Po tych dwóch, trzech dniach przeszłyby z nim przez całe miasto i biegnąc obok pociągu, Odprowadziłyby go do rodzinnej wsi. Nawet by się nie spostrzegł, siadając po tych dwóch, trzech dniach pobytu w mieście z powrotem na ławce stojącej pod oknem, że to pole za sadem i las, i rzeka, i ten dom pełen przesypującego się ziarna, króliczej i mysiej bieraniny, szeptów odpustowych świętych, rzucających sobie z jednej ściany na drugą to jabłko, to pęczek rumianku, to miecz wyjęty z boku, były z nim na tych odwiedzinach. Ale ponieważ on od kilku dni był w szpitalu, to wszystko, co z nim przyjechało, powróciło na wieś. Musiało powrócić. Zbliżała się sobótka. Po niej żniwa. A to wszystko, co z nim przyjechało do miasta, było bardziej od niego sposobne do szukania paproci, do noszenia kosy.

Przeto on był teraz sam w szpitalu. Właściwie nie sam, bo obok niego leżała ściskana oburącz schorowana noga. Ona to, rozmnożona przez te

wszystkie nogi, na jakich szedł do żniwa, na wojaczkę, na wesela i na pogrzeby nie puszczała go ani na moment z łóżka. Domagała się coraz natarczywiej tego leżenia przy niej. Po pewnym czasie nawet to leżenie przy niej już nie wystarczało. Trzeba było, dobierając oględnie słowa, mówić do niej. A ponieważ rzadko kto umie rozmawiać z nogą, do tego schorowaną, widzieliśmy, jak on całymi dniami siedzi przy niej i biedzi się nad ułożeniem kołysanki dla niej. Już się wydawało, że ją znalazł, że za chwilę ukołysze tę nogę i będzie mógł wyskoczyć do domu, nad Piawę. Ale schorowanej nodze nudziła się dopiero co ułożona kołysanka. Budziła się z krzykiem. Trzeba ją było kołysać od początku.

Po paru tygodniach zorientowaliśmy się, że jego nie ma w szpitalu. Na łóżku leżała jedynie noga. Jakoż tego, co leżało obok tej nogi, w żaden sposób nie mogliśmy pogodzić z jego głową, z jego rękami. Wprawdzie nie mówiliśmy o tym nikomu, ale byliśmy pewni, że ta schorowana noga zabrała i jego głowę, i jego ręce, i to wszystko, co przez te sześćdziesiąt trzy lata ugłaskała rękami i namówił, aby weszło w jego głowę i zamieszkało w niej tuż za potylicą.

Nie wiedzieliśmy, gdzie on jest. Staraliśmy się go szukać nad Piawą i nad Styrem, w domu i w lesie. Czasem się nam wydawało, że pod drzewami widzimy jego cień, że na bochenku chleba, na łbie końskim leżą jego ręce. Może rzeczywiście widzieliśmy. Ale nigdy, oprócz tego cienia, oprócz tych fragmentów jego istoty, nie udało się nam widzieć go od stóp do szczupłej twarzy. Nie próbowaliśmy też pytać go, gdzie się nam zapodział. Zdaje się, że nie wiedział gdzie. A jeśli nawet wiedział, z obawy przed tą schorowaną nogą milczał.

W tym też mniej więcej czasie spostrzegliśmy, że oprócz nas odwiedza go w szpitalu coś podobnego do człowieka, ale o wiele cichszego i pokorniejszego. Na pewno nie był to jego ulubiony koń. Nie było słyhać ani stukania kopyt, ani cichego rżenia, podobnego do pogwizdywania ptaka. Nie było to żadne zwierzę wyprowadzone na światło przez jego ręce.

Po szeleście, przypominającym przeciekanie wody przez wstawione do rzeki prostopadłe dłonie, zorientowaliśmy się, że musi to być drzewo. Jeszcze przez parę dni byliśmy pewni, że to jabłotka zasadzona przez niego w dzieciństwie przychodzi w odwiedziny. Widocznie przypomniawszy sobie o nim, kiedy dojrzały na niej studzienne, zimne jabłka. Przeto przychodziła codziennie, aby jak co roku mógł z niej zrywać jabłka wprost z gałęzi. Dopiero kiedy on zaczął się upominać właśnie o te studzienne jabłka, pomyśleliśmy o innym drzewie. To drzewo, które wzięliśmy za jabłotkę, niewyraźne początkowo, stojące tuż za jego głową, było jednak wyższe od jabłotki. Nie miało też ani liszajów, ani popękanej skóry zalewanej smołą i żywicą. W kilka dni rozpoznaliśmy to drzewo. Po kukułce wołającej z jego korony o jutrzni i po sowie pohukującej o zmierzchu. Wystraszyliśmy się tego drzewa. Zwłaszcza że było ono od kilku lat ścięte i suszyło się pod przyciesią domu. Wyprowadziliśmy je też ze szpitala, zasłaniając sobą i popychając

rękami. Nie chcieliśmy krzyczeć na nie z obawy, że albo obrazimy drzewo, albo on, leżący obok tej schorowanej nogi, dojrzy jego koronę z sową.

Ale drzewo, wyprowadzone na szpitalny korytarz, wracało po chwili. I znów stało u jego wezgłowia. I już nie mieliśmy siły wyprowadzać tego drzewa. Wszyscy zresztą wiedzieli, i lekarze, i chorzy na sali, że tego chorego leżącego przy oknie dzień w dzień odwiedza jesion. Jedyne co mogliśmy zrobić, to przynosić temu jesionowi coś ciekawego do czytania i dobrego do picia. Jakoż jesion był rozmiłowany w czytaniu. Zwłaszcza całymi godzinami mógł siedzieć nad Biblią. Z picia najbardziej smakowała mu źródłana woda.

W tym czasie, kiedy jesion czytał Biblię lub popijał wodę, próbowaliśmy się dostukać do naszego chorego. Ale rzadko się nam to udawało. Gdy on na chwilę odchodził od tej schorowanej nogi i podchodził do nas, do domu, nad Piawę, w koronie jesionu odzywała się sowa. A gdy odzywała się sowa, jego zabierała nam schorowana noga.

Przeto przenieśliśmy go do drugiego szpitala. Chcieliśmy zmylić jesion. Po części się nam to udało. Jesion nie przychodził do tego drugiego szpitala przez kilka dni. Wprawdzie po tych kilku dniach zjawił się na powrót, ale w jego koronie przestała pohukiwać sowa. Jesion nie stał też u wezgłowia chorego. Stał na miejscu tej schorowanej nogi. Dopiero wtedy spostrzegł go on. Pierwszy też raz od paru miesięcy odezwał się prawie wesoło:

- Witaj. Widzę, że chcesz mnie zaprowadzić do domu.

[Spis treści](#)



Narodziny

1

Drzewko się rodzi. Kto śpiewał to drzewko błogosławione w polu, w sadzie, w borze. Drzewko się rodzi. Jego listki w deszczu, w zielonych wilgach, w czerwcowej żywicy. Stamtąd szły ptaki, stamtąd szło zwierzątko popychające jedną łapą, pyszczkiem z pagórka na dół, z dołu na pagórek - jabłko, dynię, słońce.

Drzewko się rodzi. O tym drzewku śpiewa i bór, i sad, i pole. Śpiewa o tym drzewku w polu, w sadzie, w borze stara kobieta, podobna począstce do boru, sadu, do czarnego pola. Stara kobieta, moja matka, śpiewa. Za nią, osadzona w ziemi, złota lampa owsa i pszenicy. Moja matka śpiewa przechodząca sadem, ulatująca na dwóch jego skrzydłach w zmierzch, rozjarzony jednym złotym jabłkiem. Moja matka śpiewa idąca borem w jego noc zgęszczoną w ciemności jagód, piór, grzybów i piżma.

Moja matka śpiewa. A drzewa w sadzie są jeszcze całe w puchu alleluja. Za sadem kościół rozwarły do wnętrza. W tym wnętrzu pachnie zwierzęciem

rozłamany do kości, do kostnego szpiku. A już w to wnętrze wlewa się miód kosmaty. Miód zarasta woskiem. Na wosku jabłko położone leży. Czerwone jabłko rozkrojone nożem na cztery części, na jedno wesele.

Święci ślub biorą. Święci w złotym wnętrzu kościółka i zmierzchu. Klęczą przy sobie jak palec przy palcu. W ich rękach palą się świece. Nad nimi mirt cięty nożycami i cały kołacz zatapiany w winie. Święci ślub biorą. Święci jadą w bryczkach. Za nimi w czarnych szprychach koło słońca dzwoni. Za nimi huczy złoty ul - muzyka. Święci ślub biorą. Za kościółkiem, na brusku ostrzy się damasceński nóż. W wodzie się go poświęca. Tym nożem odetnie się od pępownicy drzewko, zwierzątko, dziecko. Święci ślub obiorą. Z nich się rodzą dzieci - mokre baze na wiązce siana, nad baziami odtajale w śniegu, rozchylone nozdrza. Pierzasty obłok.

2

Leżałem w sadzie. Po nim szły obłoki. Na koronach jabłonek, na gałązkach, na pierwszych jabłkach papierówkach wisiały kłaczki puchu i sierści. To po koronie sadu, po jego zwiniętych skrzydłach przebiegając szybko łapkami przebiegły przepiórki, a tuż za nimi łasice. Sad drgnął. Seplenił i bełkotał. Ten sad - wielki niemowa w liściach, w skrzydłach. Tuż za sadem obłoki jeszcze bardziej się obniżyły, wchodząc już w całości w uchylony kościółek. Stamtąd szedł śpiew. Pachniało deszczem, rozgniecionym makiem, prażonym olejem.

To w tym oleju pryskającym na wszystkie strony, ciekącym strużką z prasowanego siemienia, z pestek słonecznika będzie się prażył proboszcz. Wszędzie, w całej okolicy podobnej do odwróconego dzwonu, sieje się konopie i sadi się słonecznik. I w każdym domu, w kącie komory, tuż za żarnami i za stępą, stoi drewniana prasa do wyciskania oleju. Ten olej cedzi się do drewnianych skopców. Ze skopców do żelaznej kadzi. A ta kadź stoi na ułożonym z szamotki palenisku. Pod palenisko jest podłożone osikowe drewno i osikowe wióry.

To do tej kadzi doprowadzi się proboszcza, rozbierze się go z sutanny, z trzewików i z koronek i zwiąże się jego nagość lnianymi pasmami, i nagusieńkiego dwóch najteższych parobków wsadzi do oleju. Wtedy trzeci parobek podłoży ogień pod osikowe wióry i osikowe drewno. I olej poruszy się nad ogniem. I drgnie kadź. I zaskwierczy olej. I poruszy się pod lnianymi pasmami nagość proboszcza. I każdy stój w kościelnych belkach pocieknie kropelką żywicy od dziękczynnego psalmu.

Z kościółka szedł śpiew. W sadzie pachniało deszczem. Natomiast cała ćwiartka okolicy zwróconej na południe pachniała od drzewa do drzewa, od lasku do lasku wołającą kukułką. To ta kukułka, w szarości widnokresu niemal złota, wywoływała z uchylonego kościółka tego proboszcza prowadzącego nieszpory. I on szedł za nią. A przed nim, jak krzemienny jaszczur, w garbach, w uskokach dochodzących do wapnia i do miki, zapadała się ziemia. I drzewa osadzone na tej ziemi, na tym jaszczurze,

rozstępowały się pośrodku jak ryby ustawiane pionowo i rozcinane nożem na dwie połówki. W ich rozchyleniu zawiązywała się płeć niewiasty. Ta płeć rosnąca dziko, cuchnąca nadrzeczną trawą, po której przeszła woda, a po niej ślimaki, pochłaniała tego proboszcza biegnącego w komży, w szewrowych trzewikach.

A sad pachniał deszczem. I nie był to już sad, ale obłok, cały w liściach, w spadających przez te liście jabłkach. A za tym sadem przytupywał drewniany kościółek otwarty do wnętrza. Z tego wnętrza wychodzili ludzie. Wchodzili w deszcz. Początkowo ciemnieli w nim, a gdy woda poczyniała z nich ściekać strużkami, zielenili się jak uciekające na dwóch nogach wigilijne drzewka. A na tych ludziach, na tych ludzkich drzewkach poruszały się zdmuchiwane przez wiatr kłaczki puchu i sierści.

W kościółku został proboszcz. Dymiły pogaszone świece. W lampce z czerwonego szkła, wiszącej nad jego głową, palił się lniany olej. Z proboszcza złota smuga szła modlitwa. A ja stałem w sadzie. A raczej w tym obłoku podobnym do sadu. Pełnymi garściami obrywałem z niego mokre jabłka i z całych sił rzucałem nimi na gontowy dach kościółka. Jabłka spadały, rozbijając się o kamienne płyty, którymi była wyłożona procesyjna ścieżka wokół kościółka. Podrażniony tym turkotaniem jabłek spadających z gontowego dachu, ich pękaniem na kamiennych płytach, począłem je miotać w uchylone wnętrze kościółka. Nie mogłem wprawdzie dorzucić nimi do klęczącego przed ołtarzem proboszcza, dorzucałem najdalej do kruchty, ale te z nich, które się nie rozbiły o kamienną posadzkę, toczyły się niemal do kolan proboszcza. On wiedział, kto rzuca tymi jabłkami. Rzucałem nimi już nie jeden raz. Ale ani drgnął, ani się obejrzał. Z niego, jak z jednopiennego ula, nieustannie szła modlitwa.

3

Nie czekałem, aż proboszcz wstanie z klęczek, otrzepie pył z sutanny, spojrzy na zmierzchający się chór, przygładzi dłonią szczesane do tyłu włosy, wyjdzie na kościelne schody i pochylając się do przodu spojrzy pod sad. Nie bałem się, że mnie dojrzy w sadzie. I tak przecież wiedział, że to ja rzucałem jabłkami. Już kilkakrotnie z tych kościelnych schodów wypatrzył mnie stojącego w sadzie z jabłkiem w ręce złożonej do rzutu.

Tego dnia po nieszporach, za sadem ciągnącym się aż po parafialny cmentarz, na skoszonych uprzedniego dnia łąkach, miałem się spiknąć z jedną z dziewczyn śpiewających w kościelnym chórze. Już z kilkoma dziewczynami z kościelnego chóru schodziłem się na tych łąkach albo nad rzeką przepływającą za tymi łąkami lub wprost na chórze czy też w kruchcie, gdzie półmrok pachniał zniesionymi tu do drewnianej skrzyni co tylko pogaszonymi świecami.

Wolałem jednak spotykać się w otwartym polu. Tam zawsze można było dojść do miłego zapachu ciągnącego się od zamkniętego szczelnie na noc plebańskiego sadu, od pasieki ustawionej w tym sadzie czy też od rzeki

szorującej rybim brzuchem po piaszczystym dnie. W kruchcie natomiast zapach dziewczęcego ciała mieszał mi się z zapachem stygnącego wosku. Z tego powodu i całowanie, i ugłaskiwanie chórzystek, ich obnażonych ramion, nóg odsłoniętych wysoko, szło mi niesporo. Jeszcze gorzej czułem się na chórze. Z organowych piszczałek co chwila wyskakiwały kościelne myszy i dał z nich zaduch po błagalnych psalmach. Poza tym istniała obawa, że w kruchcie i na chórze zdybie nas kościelny, wysuszony staruszek, zapominający się nieustannie w mowie i w uczynkach, wracający po zostawioną nieodłączną krymkę czy też po ćwiartkę wódki wetkniętą w organowy miech.

Nie mogę powiedzieć, kruchta i chór miały też swoje zalety. Dziewczyna wprowadzona tam, onieśmielona służącymi świętości kościelnymi zakątkami, rozstawionymi po kątach i wygłaskanymi do żeber przez ludzkie ręce świętymi z drewna czy też z gipsu, chętniej godziła się na pieszczoty. Ale gdy pod moimi rękami zaczynała popiskiwać i wzdychać z uciechy, zdawało mi się, że równocześnie z nią wzdychają te wysłużone drewniane figury świętej Magdaleny, Jadwigi, Kingi, przeto po chwili i kruchta, i chór były pełne szeptów. Przeze mnie, przez moją krew, wątrobę, mózg szli pospiesznie do tych drewnianych świętych ubrani w suknie poborcy podatków, korzenni i sukienni kupcy, miejskie rzezimieszki, przyjeżdżali na koniach okrytych kapami przetykanymi złotą nitką rycerze. Za tymi przechodzącymi pieszo i cwałującymi na wierzchowcach postaciami widziałem miasteczka na wzgórzach, zamki z ciosanego granitu, wody otaczające te zamki, jeszcze miękkie od zanurzonych w nich końskich nozdrzy.

Z tych powodów wolałem się schodzić z dziewczynami, śpiewającymi w kościelnym chórze, na łące lub, nad rzeką. Zwłaszcza z tą dziewczyną, z którą się umówiłem po wczorajszym nieszporze, chciałem się spotkać nie gdzie indziej, tylko na świeżo skoszonej łące. Już od wczoraj zresztą, kiedy to jej szepnąłem, żeby po dzisiejszym nieszporze przyszła na łąki, skoszona trawa pachniała mi położoną na pokos razem z nią czerwcową jutrznią. A więc pachniała mi tym wszystkim, co czuć rozgrzebanym nawozem, uchyloną stajnią parującą zwierzęcym gorącem i jeszcze tym wszystkim, co w czas jutrzni wstępuje rdzeniem drzewa do jego wierzchołka.

Jakoż skoszone siano wchłania w siebie wszelki zapach i wszelkie światło, i ruch wszelki dziejący się obok. Wedle mnie, jeślibym gdziekolwiek chciał wynieść świętych, to nie w pole, w las czy też nad wodę, ale kładłbym ich na pokosach ściętego siana. Niechby sobie na nim leżeli, poczywając krztynę od wszelkich spraw świętych. A gdyby sobie odpoczęli i ich podkrążone oczy rozjaśniłyby się do jaskru, zakapałbym ich grubą warstwą wosku, żeby nic, co dzieje się w skoszonym sianie, nie uszło ich pamięci.

Na takie to siano chciałem dzisiaj zaprowadzić tę chórzystkę, tak jak przed nią prowadziłem na skoszoną trawę inne dziewczyny, jeśli mi się widziały bardziej od tych, które wystarczyło wprowadzić na chór czy do kruchty, żeby wzdychały i popiskiwały z nadmiaru uciechy. Jakoż na tym

sianie szło mi o wiele gorzej niż w kruchcie czy na chórze. Musiałem z całych sił wywoływać z siebie tego chłopca z kwaśną mordką wyjętą co tylko z praśnego miodu, tego królewicza z zamku i dopiero ich rękami głaskać te dziewczęta sprowadzane tak samo do uciechy, jak tamte na chór czy do kruchty. I na tym sianie, po trosze wiejski chłopiec i po trosze królewicz, biłem się na noże z czterema innymi chłopcami, z sukiennymi kupcami, z miejskimi rzeźmieszkami. Biłem się z całym wojskiem, podpalałem całe wsie, obracałem w perzynę miasteczka, aby potem sięgnąć ręką za stanik tych samych dziewcząt, które, wprowadzone na chór, do kruchty, same prowadziły moje ręce po sobie.

Ale nie skąpiłem przebiegłości i zachodu, aby je na to siano, nad tę rzekę sprowadzić. I nie żałowałem sił i krwi straconej w bójce z urojonymi zalotnikami i z urojonym obcym wojskiem. A gdy już dopiąłem swego, gdy do plebańskich stodół zwoziłem to siano, na którym po bójce i po bitwie leżałem obok dziewczyny wdychając z lubością zapach jej skóry przesyconej solą i podobnym do szarej soli mrokiem, słyszałem nadal, jak to siano połamane w kolankach wzdycha i naszeptuje.

Również dzisiaj, po niesporach, umówiłem się z tą chórzystką, aby ją zaprowadzić na skoszone siano. Na tym sianie tego lata nie byłem jeszcze z żadną z dziewczyn. Nie chciało mi się. Zresztą siano było skoszone dopiero wczoraj. Do tych sianokosów schodziłem się z dziewczynami wyłącznie na chórze i w kruchcie. Jakoż tegoroczne siano i tegoroczna wiosna nie odtajały jeszcze we mnie z resztek śniegu i nie puściły sklejonych terpentyną listków.

Wprawdzie dziewczyny nie rozpatrzyły się jeszcze we mnie. Nadal łąsiły się do mnie jak do ubiegłorocznego chłopca, ale moje ręce i moje usta szły po nich, jakby były oprawione w dębową korę. Z jednej strony cieszyło mnie to, bo częściej niż ubiegłego lata mogłem w tej kruchcie i na tym chórze myśleć o moim proboszczu, o wyjeździe na Saksy lub do Ameryki, o gołębiach, które codziennie trzebił mi zadomowiony w sadzie jastrząb, i o wielu jeszcze rzeczach wartych pomyślenia. Z drugiej jednak strony czułem się, jak złodziejaszek, okradający się z dnia na dzień o jeden grosz więcej, lub jak skąpiec skręcający dziennie po jednym trybiku płomyk zapalonej naftowej lampy.

Przeto gdy przedwczoraj wpadła mi w oko ta drobna chórzystka o pucołowatych policzkach z dołeczkami, śpiewająca solo fragment dziękczynnego psalmu, trzymająca w czasie śpiewu dłonie przyciśnięte do piersi, podszedłem do niej i umówiłem się z nią na skoszonych łąkach. I przez cały wczorajszy idzień jak dawniej, a nawet z większą zaciekłością, biłem się o nią z najroślejszymi parobkami okolicy. I więcej niż jeden raz byłem dla niej królewiczem wojującym z całą kawalerią. I nawet doszło do tego, że pędziłem dla niej do ataku na skrzydlatym smoku i przebijałem dla niej złoconą piką całe obce wojska cwałujące na potworach o zrogowaciałym pancerzu.

A tu przed chwilą spadł ten deszcz. I ten proboszcz, chociaż tak zawzięcie rzucałem jabłkami na gontowy dach kościółka i do jego wnętrza

pociemniałego od psalmu i dmących obłoków, nawet nie drgnął i tylko z przyzwyczajenia wyszedł na schody i zerknął pod sad. I nie wiedziałem już, czy mam iść na te świeżo skoszone łąki, czy też wyjść z sadu, przez który przeszły te z puchu i z sierści obłoki, i zająć do do domu całego w gołębnikach. Ale tam nie musiałem iść, bo choć nadeszła pora, kiedy jastrząb szykował się w sadzie do polowania, teraz przecież z jego strony gołębiom nic nie groziło. Sad był mokry aż do zgrubiałych kolan i jastrząb też z pewnością ociekał wodą. A taka mokra kura nie wyleci przecież z wysokiego kojca, jakim był sad.

I nadal stałem w sadzie. I nie mogłem z niego wyjść. Nawet nie dlatego, że sad po deszczu, i to po takim, kiedy obłoki idą tuż po jego koronie, jest podobny do ogromnego niewodu, opuszczonego na zielone dno, i liści, i włochatej jak liście wody. W takim sadzie bywałem już niejedyn raz i zawsze udawało mi się z niego wyjść, chociaż musiałem się tego mocować, targając pełnymi garściami jego liście i jego gałęzie. Często i to nie pomagało, przeto aż do utraty tchu wyskakiwałem z niego przywiązany w kostce niewidzialną pępowiną do jego cielska, jak parudniowe kurczątko wyskakuje z wysokiego słomianego czy też wiklinowego kojca.

Również dzisiaj, uciekając przed proboszczem, z trudem przedzierałem się przez zarzucony w sad ciasno upleciony niewód, pełny do tego niewidzialnych ryb, które razem z deszczem idą po czerwcowym niebie. Ale w końcu doszedłem do wiklinowego płotu odgradzającego sad od parafialnego cmentarza i od wchodzących na cmentarz plebańskich łąk. Stałem nawet na przełazku, bo akurat trafiłem na przełazek, i nie musiałem, trzymając się kołków, przeskakiwać przez zzieleniały w burzy, wysoki na rosnącego chłopca wiklinowy płot.

Nie chciało mi się jednak zejść na drugą stronę płotu, gdzie zaczynały się plebańskie łąki. Na tych łąkach, kiedy w nie wchodziłem, od razu pachniało mi prowadzonymi na niby bójkami i bitwami. I za dużo było już na tych łąkach pokiereszowanych zalotników i tych obcych wojsk leżących pancerny pokos obok pancernego pokosu na skoszonej trawie.

Poza tym zdawało mi się, że przez ten deszcz, inny od widzianych dotychczas, jakby wyszedł niespodzianie z zatęchłego strychu czy też z wnętrza siennego brodła, niedoschniętego i zaparzonego, ta drobna chórzyśka rozmyśli się i nie przyjdzie na łąki. I nie bałem się tego, że jej tam nie będzie. Byłbym nawet rad, gdybym jej tam nie zastał. Ale ja już uciekając przed wstającym z klęczek proboszczem, w czasie tej ucieczki przez wielką sieć sadu, całowałem się z nią i głaskałem jej policzki pojedynczymi palcami i całą dłonią szedłem po jej wysoko obnażonych nogach. Przeto byłem przekonany, że gdy dojdę do środka łąk, a jej tam nie będzie w jednej ze zgrabionych kopek, w cielesnym zagłębieniu tej kopki odszukam rękami to podwójne ciepło, jakie zostaje po dwojgu ludziach przytulonych do siebie.

Ale już zeskoczyłem z przełazka. I szedłem łąkami. I za mną został sad pluszczący się w deszczu jak ogromna ryba w sieci. Część skoszonego siana

leżała jeszcze na rozbitych pokosach, część natomiast była zgrabiona w kopki. Kopki były dalej, prawie nad rzeką. A ponieważ dopiero się zmierzchało i za trzyletnią nadrzeczną wikliną niebo było z przydymionego złota jak kogucia szyja, zdawało mi się, że kopki nie są postawione na łące, ale na niebie. Tak wyraziście było je widać. Natomiast nawet to siano z rozbitych grabiami pokosów straciło wszelki zapach. Jeśli w pogodny zmierzch nie można było przejść po nim bez bólu głowy, dzisiaj szło się przez łąki jak przez szernią od dębowego dna wodę.

Również ptaki gdzieś się pogubiły, w ziemi czy w podobnym, bo również zielonym od deszczu, niebie, gdyż ani jedna upierzona grudka nie zerwała się z furkotem spod moich nóg. Także pasikoniki najwidoczniej wylewały jeszcze wodę ze swoich nieustannie wydłużających się pod wieczornym niebem trąbek, skrzypiec i basów, bo było ciszej niż w makowym polu. Do tego jeszcze skoszona trawa, podeschnięta uprzedniego dnia na słońcu, opiła się deszczu jak parotygodniowe cielątko przepływające przez zbyt szeroki dla niego staw, i przestała się przeciągać z chrupotem w kolankach. Było więc cicho i czysto. Chociaż parujący z nagrzanego trawy deszcz wchodził coraz częściej małymi pierzastymi obłokami na już jutrzejsze, bo poranne, niebiosy.

Pod tymi niebiosami, na które nie mogła się wybić z powodu deszczu wieczorna zorza, ale już rysowała się twardymi cietrzewimi piórami jutrzejsza jutrznia, szedłem do tej drobnej chórzystki lub do tego wszystkiego, co z nią czyniłem, zanim jeszcze zdążyłem się z nią na tych łąkach spiknąć.

I pierwszy raz szedłem na te łąki i do tej dziewczyny, jak na swoje wesele. Nawet nie dlatego, że gdy podchodziłem do pierwszych kopek, ze wsi leżącej po drugiej stronie rzeki zadudniły basy i wysoko zakrzyczał klarnet. Nigdy nie lubiłem tamtej wsi. Całe lato stała otworem. Tak że gdy się dochodziło nad rzekę, patrzyło się na nią jak na śpiącego z rozchylonymi ustami starca.

Od tego nieustannego uchylenia tej wsi szły przeciągi, wiał chłód, cuchnęło kapustą, zjełczałym sadłem, przepoconymi baraniami kożuchami i zatechłym zbożem. W tej wsi, najbogatszej w okolicy, w sadach rozłożystych i wysokich, jakby pod każde drzewo był podłożony zdechły wieprz czy koń, domy mogły być otwarte całe lato na oścież, bo nikt nie potrzebował nikomu nic ukraść, żeby się najeść, kupić sobie buty czy też wypić w karczmie ćwiartkę wódki.

Chłopcy z tamtej wsi, przychodząc się kąpać w rzece, przynosili z sobą pszenne kołacze i pszenne chleby i puszczały je po spadzistym brzegu do rzeki. Chleby toczyły się po zarośniętym trawą brzegu, pociągając za sobą zeschnięte źdźbła trawy i gnieźdzące się w nich iskry. Patrząc z naszego brzegu, wydawało się, że te kołacze i te bochenki chleba są większe od kół u dworskiej bryczki.

Chleby te wpadały z sykiem w wodę podobną do czerwonej u ziemi wikliny, pogrążały się w niej na chwilę, aby wyskoczyć z niej na kształt kobylicz czy też krowich łbów. A my, nadzy, wskakiwaliśmy wprost z podmytego do siwego ładu wysokiego brzegu w przesuwające się równiuteńko

grube sukno rzeki i na wyprzódki, jak zziajane psy, dopływaliliśmy do tych krążących po leniwym nurcie chlebów.

A ponieważ byliśmy i mali, i głodni, i nie mieliśmy sił, żeby ująć chleb w jedną rękę, a drugą podciągać się w wodzie, popychaliśmy bochenki przed sobą nosem i zębami. Tamci chłopcy, stojący po kostki w rozgrzanym piasku, rzucali w nas kamieniami, garściami szutru i wyzywali nas od podkościelnych dziadów. Ale myśmy udawali, że nic nas to nie obchodzi. Wyskakiwaliśmy z wody taszcząc w rękach prawie rozmoknięte bochenki. Łamaliśmy je na kawałki rękami lub na kolanie i dzieliliśmy się tym chlebem z naszymi nie umiejącymi jeszcze pływać rówieśnikami i z młodszymi od nas, ledwie raczkującymi berbeciami. Chleb połykaliśmy łapczywie, podstawiając i wolną dłoń, i złączone kolana pod sypiące się z niego okruszyny. Dopiero gdyśmy się najedli do syta, tak że z przejedzenia wystająca grdyka wchodziła nam z powrotem w krtań, odpowiadaliśmy tamtym wrzeszczącym po drugiej stronie wody kamieniami i bardziej gładzonymi od tych kamieni wyzwiskami.

Toteż byłem rad, gdy spostrzegłem, że tamta wieś za rzeką jest zamknięta na drewniane skoble. Wprawdzie ten jeden dom, w który weszło wesele, był z konieczności uchylony i muzyka z niego dolatywała aż tu na łąki, ale widocznie był to dom po drugiej stronie wsi, przylegającej do dębowego lasu i do tego odwrócony gankiem właśnie do tej dąbrowy, bo nie słyhać było ani siedzących przy wystawionych pod sad stołach i siorbiących z emaliowanych misek kurzy i gęsi rosół, ani odbijanych beczek piwa i jabłeczniaka, ani też wrzucanego garściami do przestronnych basów grosiwa.

A ponieważ nie dochodził do mnie żaden odgłos tamtej wsi, a muzykanci pochodzili od nas, szedłem w ich muzyce, podśpiewując sobie co ciekawsze kawałki, i wyobrażałem sobie, że moje kolegusy prowadzą mnie na mój ślub. Z tego też powodu ta chórzystka wtulona wążutkimi plecami w sienną kopkę była dla mnie panną młodą. A jeśli jej tam nawet nie ma, wówczas panną młodą będzie dla mnie to miejsce wygniecione w kopce i jeszcze upalne, w którym już byłem z nią, zanim do niej doszedłem. I idąc, niemal podskakiwałem na jednej nodze i gołymi piętami uderzałem się w pośladki. Tak chciało mi się iść do tych kopek siana i zastać wtuloną w którąś z nich chórzystkę.

Wprawdzie już uprzednio, gdy mi się zdarzało przyjść na łąki wcześniej od umówionej dziewczyny, wyobrażałem sobie, że do mnie za chwilę przyjdzie panna młoda. I one, te dziewczyny, idąc do mnie szły tak, jakby w rękach niosły różdkę, a na głowie spleciony mirt z asparagusem, i podchodząc do mnie, mówiły mi o tym. Ale ja nigdy im nie wierzyłem. Nawet wtedy, gdy leżeliśmy przy sobie na grubym pokosie i w głębi kopnego siana i gdy całowały mnie po rękach i głaskały po powiekach, i nazywały kościelnie Archaniołem Gabrielem, i namawiały mnie i słowami, i obnażoną nagością, abym im zostawił mały obłok. Dzieciątko.

A kiedy im odmawiałem i tego Archanioła Gabriela, i tego zwiastowanego dzieciątka, wyzywając je od miasteczkowych dziwek i od kurwy baronowej, i

od wściekłej jałowicy, biły mnie pięściami gdzie popadnie i jeszcze bardziej mnie pieściły i prosiły, żebym przyszedł na ich wesele. Obiecowałem, bo lubiłem przymykać powieki i widzieć te dziewczęta przytulone do mnie, w białym welonie wchodzące do kościółka i wychodzące z niego w rozstępującą się muzykę, tańczące pod sadem, z którego nieusannie sypały się urywające się z nadmiaru winnego soku jabłka.

I zrywaliśmy się na poślubną noc, a raczej na kawałtka tej poślubnej nocy, pod tym urywającym się z wonnych jabłek sadem, w stodole rozrastającej się od nadmiaru zwiezonego do niej zboża, w uchylonej na ogród komorze. Ale nigdy nie przychodziłem na te kawałtka poślubnych nocy. Stałem sobie za sadem, obok stodoły, na wprost uchylonej komory i przysłuchiwałem się muzyce i weselnikom wchodzącym po skończonej muzyce w siano, i zdejmowaniu weselnego asparagusu i mirtu z obciętych warkoczy, i szelestowi nakrochmalonych halek, i coraz głośniejszym westchnieniom młodej pary leżącej w sadzie na wyniesionym ślubnym łóżku, w stodole czy w komorze.

4

Dziewczyna czekała na mnie przy ostatnich siennych kopkach, prawie tuż nad rzeką. Zdawało mi się, że z kimś czy z czymś rozmawia. Mógł to być ktoś idący od pobliskiego promu, jakiś spóźniony rybak, a może jakieś zwierzątko, wiklinowy krzew lub pierwsza gwiazda, której ja nie spostrzegłem. W każdym razie musiałem się zatrzymać, aby sprawdzić, czy nie ma obok niej kogoś obcego. Przeto szedłem do niej klucząc od kopki do kopki. Dopiero gdy znalazłem się tuż przy niej, zorientowałem się, że dziewczyna podśpiewuje sobie, a do jej nucenia wlewa się szelest przepływającej obok rzeki.

Zresztą ta rzeka płynąca po piaszczystym dnie, a piasek był biały i ułożony pasmami jak długo na słońcu bielejąca lniana przedza, oświetlała tę część łąk roślinnym czy też idącym jakby z rozciętej ryby światłem. W każdym razie na tej części łąk było widniej niż koło sadu czy też cmentarza. Nie było jednak tak jasno, jak w owe zmierzchy poczynające się w suchej siennej trawie. Zawiniło tu również niebo, przydymione od parującej trawy. Również w głębi, za rzeką, nad prawie wyłącznie eternitowymi dachami tamtej wsi, jak drzewny węgielek, leżący do połowy w wodzie, ledwie jarzył się ogarek zorzy.

Idąc w cieniu kopek, zszedłem nad rzekę i dopiero stamtąd ostrożnie, kroczył po kroczeniu, na palcach, zbliżałem się do wtulonej w siano dziewczyny. Nie wiedziała, że jestem na łąkach. W każdym razie nie spodziewała się, że nadejdę od strony rzeki. Przeto gdy wychylałem się zza siana i położyłem ręce na jej ramionach tuż przy szyi, tak że palcami dotykałem dołków pod obojczykami, krzyknęła i poderwała się do ucieczki. Ale nie wyrwała się z moich rąk. Nacisnąłem mocniej palcami na obojczyki. Dziewczyna krzyknęła jeszcze raz, tym razem z bólu, i przysiadła obok kopki. Oderwałem się do niej i wtedy dopiero mnie poznała.

- Czemuś przyszedł od rzeki? Jakubku, tak się przestraszyłam. Z tej rzeki przychodzą ryby, stamtąd idą na kaczych nogach wydry i wodne szczury, czasem, tuż przed zimą, przez jej ścinającą się wodę przepływa gronostaj. Zimą zaś wieje z niej chłód i śnieg. A tyś taki zimny i mokry. Jakbyś wyszedł nie z tej czerwcowej rzeki, ale z tamtej, jeszcze zimowej, pełnej kry, w której tkwią zamrożone na kość ryby. Boże święty, gdzieś ty łaził w ten deszcz?

- W deszcz? Byłem w sadzie. Obłoki po nim szły. Po samej jego koronie. Powiadam ci, tyle piór i kłaczków sierści zostało z nich na gałązkach. Sad wyglądał jak uciekający przed ptakami i zwierzętami archanioł. A ponieważ kościółek był uchylony, to te obłoki, idące tuż po koronie sadu, wchodziły jeden po drugim do jego wnętrza. I mieszały się te obłoki z psalmem śpiewanym pod koniec nieszporów. A ponieważ od zakrystii kościółek był zamknięty na żelazny skobel, te obłoki pomieszane z psalmem nie mogły dać na przestrzał kościółkiem i zabrały sprzed ołtarza prowadzącego nieszpory proboszcza, i uniosły go na chór, a z chóru na kościelny dach. Gdyby proboszcz był nie zawadził sutanną o wystający z gontowego dachu gwóźdź, ani chybi, poniosłyby go za rzekę, a może jeszcze dalej. To zlitowałem się nad tym proboszczem zaczepionym sutanną o gwóźdź wystający z kościelnego dachu. I wszedłem na ten dach po drabinie. I odczepiłem dobrodzieja od tego dachu. I wziąłem go na rękę. I ostrożnie, idąc po zielonych od mchu i od deszczu gontach, zniosłem go pół żywego na chór, a z chóru do kościółka. A ponieważ w kościółku było jeszcze duszno od psalmu, od kadzidła i od nieustannie dymiących obłoków, wyniosłem go na kościelny plac. I zdjąłem drelichową bluzkę. I położyłem go na tej bluzce. I w rękach przyniosłem wodę z pobliskiej kałuży. I ostrożnie, łyceczek po łyceczku, wlewałem mu ją w usta. Dopiero wtedy proboszcz otworzył oczy. I poznał mnie. I uśmiechnął się. A ja go pocałowałem w rękę. A on mnie pogłaskał po głowie. I głaszcząc mnie, szeptał: □ Jakubku, synku mój. Jakubko, synku mój □. I już nic więcej nie mógł powiedzieć. Tylko przymknął powieki. I tak, z przymkniętymi powiekami, wzięli go ludzie na rękę i zanieśli na plebanię. A organista z tej uciechy wszedł na chór i zasiadł przy organach, i zagrał weselnego marsza.

- Och, mój Boże, Jakubku, cóż ty wygadujesz. Pewnie znów rzucałeś jabłkami do kościółka. Ludzie powiadają, że w lecie całymi godzinami przesiadujesz w plebańskim sadzie i czekasz, kiedy proboszcz sam zostanie w kościółku. Wtedy pełnymi garściami targasz jabłka i rzucasz je do kościółka. A na kościelnym placu jest już pełno kóz. Ludzie powiadają, że te kozy są zmówione z tobą i że przeczuwają tę zaciekłość wirującą w tobie. I idą od jabłka do jabłka. I nagryzają je po ćwiartce, po połówce. I tak, jabłko po jabłku, coraz bardziej zbliżają się do kościółka. Już są na białym piasku wysypanym na kościelną ścieżkę, już na schodach, już w otwartych na dwa skrzydła drzwiach. I pobekują. A od ich pobekiwania w kościółku robi się ciemno. To Bóg, powiadają ludzie, ucieka z kościółka. A gdy Bóg ucieka, diabeł stuka rogowymi kopytkami po kościelnej posadzce. I uradzili ludzie, że albo ciebie przydybią w sadzie i zwiążą powrozami, i związanego zanurzą po

oczy w święconej wodzie, albo pod jesień poświęci się nóż toczony z damasceńskiej stali i wszystkie kozy pozarzyna się nad dołem wykopanym w kole zakreślonym poświęcaną kredą. Wtedy tę czarną krew wyciekającą z kóz wypije ziemia, a Ludzie odetchną głęboko. A mięso kozie do najdrobniejszej kosteczki spali się w ogniu. I znów nad wieżą kościelną wybije się gwiazda.

- To przecież nie moje kozy. One nie wychodzą ze mnie. I nie ma we mnie ani jednej szczeliny, skąd by szedł koźli zapach lasu czy też podleśnej łąki. To te dewotki ubrdały sobie, że widziały, jak ze mnie o zmierzchu wychodził czarny kozieł i bódł złoconymi rogami wszystko co popadnie. Popatrz, ze mnie idzie światło. Jak nie wierzysz to połóż na mojej skórze rękę. Widzisz, jak ci się złocą palce. Bo cała moja skóra jest w puchu jak złota reneta. A pod tym puchem czai się światło. I z ciebie, Helu, też idzie światło. Nawet większe niż ze mnie. Bo też twoja skóra jest naga. Krople deszczu spadają z ciebie jak z ptasiego pióra. Żadna się nie utrzyma dłużej niż na przelatującej przez deszcz wildze.

- Wszystkim dziewczynom to mówisz, Jakubku. Wmówiłeś w nie to światło. A teraz proboszcz nie może sobie dać z nimi rady. Jeśli uprzednio przychodziły na procesję w białych sukienkach zapinanych pod szyję, teraz ich ramiona są odsłonięte. Gdy im proboszcz zwrócił uwagę, odrzekły, że widocznie świętym to się podoba, bo prowadzeni przez nie w procesji nabierają rumieńców od ich koralów. I oczy im się świecą, i to już nie są ci święci z drewna i gipsu, ale żywi, jakby zaśpiewała w nich wiosenna kukulka czy też wyrosła z nich jabłonkowa gałązka. To mnie też wmawiasz to światło. Ale ja nie chodzę w procesji. Jestem za mała. I nie mogę sobie nikogo dobrać do pary. To powiedz mi coś innego.

- A wiesz, siedzi się przy tobie jak obok deszczu. Tylko przy tobie jest suchuteńko i świeci się w tobie. A dalej wszystko syczy i dymi. I nie chce się iść od ciebie. Nawet na krocze. Bo tam trzeba się bić z tym wszystkim co przychodzi na ziemię z deszczem. A mnie się dzisiaj nie chce bić z tym wszystkim, co przychodzi na ziemię razem z deszczem. A to światło jest w tobie naprawdę. Przecież mógłbym wymyślić coś innego, gdyby tego światła nie było w tobie. I wymyśliłbym jeszcze coś innego, choć to światło jest w tobie, gdybym chciał zmyślać. Ale mnie się nie chce zmyślać. Widzę, że przez ciebie przeszło kwitnące w czerwcu żyto czy też paroletni zaledwie jabłonkowy sad.

- To czemu mnie jeszcze nie pocałowałaś. Dziewczęta mi mówiły, że jak je całowałaś, to widziały, jak idzie przez nie biały kret z latarką, a po tym krecie mały niedźwiedź przestępuje z łapy na łapę w pasiece zalanej po kolana miodem, a gdy ten niedźwiedź już już wyciąga jedną łapę z miodu, wszystko, co w nich zatrzymało się od podlotka, zaczyna się poruszać. To ja też chcę zobaczyć tego kreta i tego niedźwiedzia i widzieć chcę, jak drgnie we mnie ta woda, do której weszłam w czerwcu dwa lata temu, a zaraz potem wskoczył do niej wprost z jednorocznej wikliny ten chłopak z trzeciego domu od nas, co to ma taką skórę, jakby nie był synem dwojga ludzi, ale mlecznym

dzieckiem czarnego dębu. To ja chcę zobaczyć tę wodę i tego chłopaka. Nie dlatego, żeby mi się podobał, ale dlatego, że ma taką skórę i że skoczył za mną z tego wysokiego brzegu, i że się wtedy bardzo wystraszyłam i uciekałam przez tę wodę od niego, i razem ze mną, utajona we mnie, uciekała pierwszy raz w życiu już nie dziewczynka. To proszę cię, Jakubku, pocałuj mnie. Najlepiej w oczy. Bo to, co uciekało razem ze mną, utajone w tej chudej dziewczynce, najpierw zobaczyłam oczami. Dopiero potem poczułam to w ramionach i w biodrach, i wszędzie. I jeszcze mnie pocałuj dlatego w oczy, bo tego chłopaka skaczącego do tej wody nie mogłam widzieć oczami. Ale wiedziałam, że skacze, że już skoczył, od ramion i od bioder, i od tego wszystkiego. To teraz chcę zobaczyć tę wodę i tego chłopaka skaczącego do tej wody jeszcze raz, ale już oczami.

- Och, ty głuptasku, a na cóż ci to? No, jeśli tak bardzo chcesz, to przymknij powieki. I pamiętaj, z całych sił pamiętaj, że nie całuję ciebie ani tamtej dziewczynki, która weszła do wody, ani tej dziewczynki, która uciekała przez tę wodę, ani tej kobiety, która ją doganiała, kiedy ten chłopak skoczył z wysokiego brzegu, ale ten okruszek i wody, i nieba podzielonych jeszcze na dwie części przez gałązkę rzuconą na wodę.

- Jakubku, och, Jakubku. Widzę tamtą wodę. I siebie widzę wchodzącą do niej, początkowo po kolana, po pas, po szyję, i wychodzącą z niej od szyi po pas i po kolana. Woda sięga mi zaledwie po kostki. Jaka ja śmieszna byłam wtedy. Mówię ci, jaka śmieszna. Chudziutka taka. Zupełnie podobna do chłopaka. Jakbym była sklecona z sękatych deszczulek. Co też ten czarny chłopak zobaczył we mnie, że skoczył za mną z tak wysokiego brzegu. Chyba że się chciał ze mną zabawić, chwycić mnie za warkocz i wciągnąć pod wodę. Ja bym mu dała. Pogryzłabym go do krwi, całą skórę porwałabym mu paznokciami. Niechby tylko spróbował wciągnąć mnie pod wodę. Ale jego tam nie ma. Nikt nie skacze z tego wysokiego brzegu. Och, Jakubku! Co ty robisz! Ktoś skacze z tego czerwcowego brzegu. Ale cały jest złoty. I puch jest na jego skórze jak na złotej renecie. I woda z niego spływa jak z koguciego skrzydła. Puść mnie, Jakubku. Proszę cię, puść mnie. To ty skoczyłeś do tej wody. Ach, i biegniesz przez nią, rozbijając ją na kwaśną miazgę długimi rękami i podbijasz ją podniesionymi wysoko kolanami. Ach, i już mnie doganiasz. O Boże, już mnie obejmujesz. Ale nie mnie. Nie mnie. Jak to dobrze, że nie mnie. Obejmujesz tę białą kobietę o pełnych biodrach i pełnych ramionach. Ona biegnie tuż za mną. Już ją całujesz. I ona się do ciebie przytula. Ale mnie, tej dziewczynki o ramionach z cieniutkich deszczulek, o wąziutkich biodrach, z warkoczykiem podskakującym między kościstymi łopatkami, już nie dogonisz. Ona ci uciekła. Boś ty został z tą kobietą. I całujesz ją po ramionach, po szyi, po całym ciele obnażonym do jutrznii. Jakubku, co ty robisz, Jakubku! Zmierzcha się we mnie. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego zmierzchu. Po jutrzni. Zaraz po jutrzni. Jakubku. Jak...

- A widzisz, że ta kobieta cię dogoniła w tej wodzie. I niepotrzebnie uciekałaś przed nią. Bo to była dobra kabieta. Wszystko ci podarowała. I teraz

już nie jesteś tym chudziutkim stworzonkiem skleconym z sękatych deszczulek, o kościstych łopatkach z warkoczem skaczącym między tymi łopatkami. I nie uciekłaś tej kobiecie. Ona cię dopędziła. I zabrała sobie to chudziutkie stworzenie na pamiątkę, jak się zabiera z sobą, idąc przez las czy też przez sad, wrzask skaczącej po gałęziach sójki lub pojedyncze jabłko. I nie było się co cieszyć, że ja nie biegnę przez tę wodę za tym sękatym chudzielcem. Bliżej mi było do tej kobiety, którą dopędziłem w wodzie i całowałem się z nią, i wyniosłem ją z tej wody, i zaniósłem ją na rękach na te pełne deszczu łąki. A ty źle patrzyłaś, że nie widziałaś, jak ta kobieta dogania to chudziutkie stworzonko i zabiera sobie na pamiątkę jak kwaśne jabłko. A trzeba było wtedy, gdy ci kazałem zamknąć oczy, zawołać z całych sił na tego chłopca o czarnej skórze skaczącego z brzegu wprost z jednorocznej wikliny. Może byś wtedy uciekła i przed tą kobietą, i przede mną. Ale ty się bałaś tego chłopca o czarnej skórze i równocześnie chciałaś się dowiedzieć, co się stanie, jeśli ten chłopiec nie skoczy drugi raz do wody z wysokiego brzegu. To jeśli chcesz zobaczyć tego czarniawego chłopca, mogę jeszcze raz pocałować owo zdyszane miejsce dzielące tę uciekającą dziewczynkę i tę pełną kobietę. Ale nawet wtedy, gdy ten chłopiec drugi raz skoczy do wody z tego wysokiego brzegu, będzie do mnie podobny. Bo ja chciałem, żeby był do mnie podobny, i teraz też chcę, żeby był do mnie podobny, i zawsze będę pragnął, żeby był do mnie podobny. Choć bym się miał z nim bić do utraty tchu na pięści i na wyschnięte bryły, na kije i na noże. A jeśli to nie poskutkuje, oddam mu wszystkie scyzoryki, jakie miałem w dzieciństwie, i wszystkie kamyki podobne do ptasich jaj, i wszystkie ptasie jaja wybierane przeze mnie z ptasich gniazd, nakrapiane przez las i przez pole. A jeśli on i wtedy się nie zgodzi, żebym za niego skoczył do tej czerwcowej wody, ulepię z gliny podobnego do niego chłopca i postawię go nagusieńkiego na tym zarośniętym wikliną brzegu, i będę go dopóty smagał brzoźowymi witkami, póki ta glina nie zazłoci się na słońcu i dopóki ten gliniany chłopiec nie ożyje z bólu i nie wskoczy za tobą do wody.

- Boże, co ty wygadujesz, Jakubko. Ja nie chcę tego chłopca. Ja się go boję. I ciebie też się boję. Ale bardziej od tamtego czarnego chłopca. Tamtego chłopca bałam się tylko raz. Wtedy gdy to się zaczęło dziać w tej wodzie. Ale po wyjściu z tej wody już się go nie bałam. Spotykałam go koło domu, na błoni, w polu. Ale już nic we mnie przed nim nie uciekało. I nic ze mnie ani ręka, ani nawet mały palec u niej, a tym bardziej myśl czy też częśćka myśli nie chciała się z nim spotkać. Dopiero od tego czasu, gdy ty podszedłeś do mnie na chórze, pomyślałam o tamtej wodzie sprzed dwóch lat i o tym chłopcu skaczącym za mną i jeszcze dzisiaj pomyślałam o nim. A teraz już wiem, że to nie był ten czarny chłopiec ani wtedy w tej wodzie, ani na tym chórze, ani teraz. A jeśli to był on, to ty go już pokonałeś na pięści i na noże i przekupiłeś go swoimi kamykami, i wypłoszyłeś go z tej schnącej na słońcu gliny, bijąc go do utraty tchu brzoźowymi witkami. A dziewczęta mi mówiły, że jak się do nich zbliżałeś, to się im zdawało, że podchodzą do nich wszyscy

chłopcy, z którymi się do tej pory spotykały, i nawet ci, z którymi dopiero się spotkają. A to pewnie wielki wstyd, gdy tylu chłopców naraz przychodzi do dziewczyny. I zrywają się z nią. I całują ją po oczach. To dobrze się stało, że się spotkała tylko z tym jednym o czarnej skórze chłopcem. Chyba bym uciekła od ciebie i po wsi krzyczała, gdyby więcej chłopców zalecało się do mnie i teraz, nagle, wychodząc z ciebie, zaczęli mi nadskakiwać.

- To chcesz zobaczyć tego chłopca? Powiedz, czy chcesz go zobaczyć? On tu jest w pobliżu. I ta woda też jest w pobliżu. I ten czerwiec sprzed dwóch lat. To jak go chcesz zobaczyć, to ja ci w tym pomogę. Bo mi się nie chce bić z tym chłopakiem, który jest tu gdzieś przy nas. Nawet wstyd by mi było bić się z nim. Mniejszy jest ode mnie i słabszy. A ja się nie umiem bić ze słabszymi.

- Nie wiem, Jakubku. Ale się nie bij z nim. Niech sobie będzie przy nas.

5

Siano z łąk było od dawna zwiezione. Upchane nim plebańskie stodoły, stojące do połowy w sadzie, pachniały natarczywiej od zmydlonych przy zwózce koni. Tak że sad, jego poczynające się jabłka i kończące się wiśnie przeszły zapachem podbiału i rumianku, kminku i dzikiej cykorii. Dla mnie z tych stodół sączył się jeszcze w sad inny zapach. Był to podskórny zapach miazgi, leśnej ścieżki, po której przeszły ciągnąc z wysiłkiem igliwie czerwone mrówki. Tak mi pachniała ta chórzystka, z którą spotykałem się na sianie. I zawsze, zrywając jabłka, targając wiśnie, rozgniatając je na podniebieniu i wbijając w nie zęby, czyniłem to ostrożnie i z namysłem, chcąc za ich przyrodzonym zapachem i tym siennym zapachem sączącym się z plebańskich stodół dosmakować się jeszcze tego trzeciego zapachu - leżącej obok mnie dziewczyny.

I byłem rad, że to siano zostało tak ostrożnie zwiezione. Razem z okruszkami soli, jakie pozostały po wypitym przez upały deszczu, z ptasimi piórami, zapisującymi najpierw na przelotnym niebie, a teraz w skoszonym sianie utajone znaki, z czerwcową jutrznią, z tropem zająca i kuropatwy uciekających z tej jutrzni. I za to, co z tym sianem zwieziono najostrożniej i niejako okazyjnie, a więc za to wszystko, co w tym sianie zostało ze mnie i z chórzystki, ucałowałem w nozdrza całą czwórkę plebańskich koni i dosypywałem im przec cały miesiąc o kwartę owsa więcej do sieczkowego obroku i staremu parobkowi proboszcza kupiłem paczkę fajkowego tytoniu, a sobie sprawiłem nowy kaszkiet.

W tym nowym kaszkiecie naciągniętym prawie na oczy zwoziłem teraz plebańskie zboże. Snopki w drabianiastym wozie układałem wysoko. Jadąc na takim wozie ułożonym z kilku warstw snopków, bez trudu poprzez korony sadów mogłem dojrzeć kryty eternitem dom chórzystki. A gdy wjeżdżałem na mały pagórek tuż przed plebanią, mogłem dojrzeć jej podwórko ze studnią pośrodku. Czasem udawało mi się, gdy dziewczyna przychodziła od żniwa, zobaczyć ją, jak do drewnianego koryta stojącego koło

studni wlewa kilka wiader wody i podciągając wysoko spódnicę myje nogi. Na widok tych obnażonych wysoko nóg przez mój szpik kostny przebiegały mrówki i z nagłej chciwości niemal połykałem grdykę.

A gdy jej na podwórzu nie było, kładłem się na wznak na snopkach, naciągając na twarz kaszkiet. Z nakrytą kaszkietem twarzą jechałem przez wieś na wysokości jej słomianych dachów. A właściwie to nie ja jechałem, ale wieś, dom po domu, opuszczała mnie, uciekając w pobliskie zagajniki. W każdym razie tak mi się wydawało, bo nie słyszałem turkotu kół toczących się do połowy szprych w kurzu; konie wprawdzie prychały, ale równie dobrze mogły to czynić stając nad koszem siana czy też upijając z roślinnego stawu.

I tak w tym słońcu, grzebiącym się jak kwoka w słomianych dachach, dojeżdżałem aż do plebańskiego sadu. Dopiero gdy na rozrzuconych po snopkach rękach, na ciele obnażonym aż do pasa, poczułem sukienny chłód orzechowych liści, podrywałem się z tego pólśnu w zwożonym zbożu i stawałem wyprostowany na wozie. Konie czując polny przeciąg uchylonej stodoły i zapach zsypanego do koszy obroku przechodziły w trucht. Korona sadu, uciekając od podskakującego i syczącego od upału drabiniastego wozu, powiększonego o zwalone na niego zboże, przelatowała po mnie i liściastym cieniem przeze mnie, smagając mnie roślinnymi łapami. Na mnie, na wóz, na spienione zady końskie sypały się jabłka. Widziałem to wszystko przez przymknięte powieki. Kaszkiet zazwyczaj spadał mi z głowy i moje rozczochrane włosy pełne były zerwanych liści, a moje obnażone ciało było w zadrapaniach. Ale nadal jechałem stojąc na tym wysokim wozie, z głową przechyloną do tyłu, z rozchylonymi ustami i z rozdętymi nozdrzami. Jadąc tak wchłaniałem całym sobą ten trzeci zapach sadu, przypominający mi spoconą dziewczęcą skórę, światło, które sączyło się z tej skóry w skoszona trawę.

I zwożąc to plebańskie zboże, nie czułem ani głodu, ani pragnienia. Gdy zwożący ze mną na drugim wozie stary parobek szedł na plebański ganek do wyniesionego na świeże powietrze posiłku, zanurzałem twarz w korycie z zimną wodą, ochlapywałem się nią cały i mokry jak psiak wchodziłem pod sad.

Tu pogryzając jabłka lub żując źdźbło trawy leżałem z rękami podłożonymi pod głowę, starając się przypomnieć sobie ten czerwcowy deszcz i te łąki w tym deszczu, i to pierwsze spiknięcie się nasze na tych łąkach.

Wychudłem też w te żniwa. I byłem prawie podobny do tej dziewczynki sprzed dwóch lat uciekającej przez tę czerwcową wodę i jeszcze bardziej do tego czarnego chłopaka skaczącego do tej wody z wysokiego brzegu. I jak tamtego chłopca, nachodziła mnie często chęć, żeby skoczyć za tą dziewczynką do wody i wciągnąć ją pod nią za warkocz, i przeczekać pod tą wodą aż do utraty tchu - a gdy się pod wodą czeka do utraty tchu, to się czeka dłużej niż dwa lata - i wypłynąć razem z nią pod ten sad w pierzastych obłokach, na te łąki mokre od deszczu i pachnące stadem długo pławionych w czerwcowej rzece koni. I byłbym z tą dziewczyną od początku. Chociaż

nadal nie wiedziałem, jak się to dzieje, że ona po odejściu ode mnie, spod kopki siana, ze zbożowej panny, znad rzeki, jest po części w tym sianie, w zbożu związanym w snopki i żyjącym nadal w utajonej sile ziemi i w nadrzecznej trawie pachnącej świeżo rozciętą nożem rybą. I nie musiałbym tych jej części przypominać sobie przejeżdżając na stojąco przez koronę sadu.

A po skończonych żniwach, po zwiezieniu plebańskiego zboża, po młocce przeczekałbym jakiś tydzień, żeby plebańskie obejście przewietrzyło się w sierpniowej burzy, w przeciągu wiejącym na przestrzał od rzeki po las, z kocurzego zapachu stęchłej słomy układanej w stogi i ze zrosniętego zboża. Wtedy, by nie budzić śpiącej w komorze matki, wyszedłbym przez okno w którąś z sierpniowych jutrzni. I idąc przez to siejące się proso sierpniowej jutrzni, wszedłbym do plebańskiego sadu. I wspiałbym się na rosnącą w samym kącie sadu starą jabłonkę. I z jej dziupli wybitej przez dzięcioły w jej potylicy wyjąłbym te pięć dziesiątek w srebrze. I jedną po drugiej, żeby się nie omylić, wpuszczałbym do kieszeni. I trzymając rękę w kieszeni przerzucałbym je jedną po drugiej, ażby się spocily, żeby się oswoić z ich miłym ciężarem. I poszedłbym za kościół, gdzie stoi wyniesiony z zakrystii ni to Bóg, ni to garbus, i rzucałbym o jego kolana dziesiątka po dziesiątce. Niechby dzwoniły. Niechbym wiedział, że są prawdziwe. A gdybym się już upewnił, że są tłoczone w srebrze, zaniósłbym je proboszczowi. Nie dlatego, żebym nie chciał oszukiwać proboszcza. Jemu zamiast srebrnych dziesiątek wsypałbym do kieszeni nietoperze łajno.

Nadal zwoziłem to plebańskie zboże. Stodoły od jego rozrostu, kroczek po kroczeniu, wchodziły coraz dalej w pole i w sad. Jakoż snopki nie chciały spokojnie siedzieć w tych drewnianych stodołach. Wyrwały się po jednym, po dwa przez dziury wybite w eternitowym dachu, wyłaziły całymi garściami przez szpary w sosnowych tarcicach, jakimi były oszalowane stodoły. Najchętniej nad ranem, kiedy wszystko drzemie rozrzucone w bolesnym śpiochu, rozwarłbym im na oścież wrótnie, niechby sobie z powrotem poszły w pola do swoich pszennych, żytnich czy owsianych spraw.

I od tej zwózki, od tego sierpnia toczącego po drogach rozchodzących się nad moją wsią drabiniasty wóz naładowany po czubek syczącym i syjącym iskry zbożem, od tego wozu toczącego się po wiejskiej drodze zasypanej po kolana pyłem i żdźbłami zbóż, od tych wrzaskliwych ptaków już nie przelatujących z nadmiaru mięsa po niebie, ale biegnących po nim - wychudłem i szerniałem. I z dnia na dzień byłem coraz bardziej podobny do tego chłopca o czarnej skórze. I gdy spotykałem się o zmierzchu z chórzystką, aby razem z nią wejść w coraz częściej zjawiające się na dworskich polach stogi, w nadrzeczną wiklinę, podskakiwałem idąc do niej na jednej nodze, jak ten czarny chłopiec. I chociaż nigdy o nim nie wspominaliśmy, byłem coraz bardziej podobny do tego chłopca, gdyż i ręce, i usta tak układałem idąc nimi po prawie nagiej dziewczynie, jakby to czynił ten sprzed dwóch lat chłopiec skaczący do czerwcowej wody z wysokiego

brzegu. I chociaż byłem starszy od niego, zrównywałem się z nim i w czasie, i w chłopięcych zabawach, i w pomyślunku. Wtedy mogłem się z nim bić. I biłem się z nim kilka razy, rozbijając mu pięścią i nos, i wargi. I było mi go żal. I obmywałem go w rzece, i kładłem na jego potłuczenia przeżute na papkę żyłkowane liście babki.

A gdy po zwiezieniu zboża i po jego wymłóceniu, i po przewietrzeniu plebańskiego obejścia z kocurzego zapachu rozparzonej słomy stało się czysto i niebo nad moją wsią dobiło się wreszcie do nas wielkimi jak pięści światłami, kościół zapachniał ciętym mirtem, kapiącymi suto woskiem świecami i pokrojonym na kromki kołaczem. Nie było dnia, by nie stały oparte o drewniane plecy kościółka weselne basy. I konie rżały, unosząc łby całe we wstążkach, w kantarach natartych sadłem, i gryzły rżąc werbliki, i przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę. To się podkradałem do tych opartych o kościółek basów i wsypywałem w ich brzuchy kilka garści szutru lub, jeśli niosłem koniom owies, kilka garści owsa. Tak urządzone basy, wsadzone na wóz, odjeżdżające na tym wozie spod kościółka, traciły głos, dostawały chryпки i zaledwie pobekiwały, jak ściśnięta mocno garścią koźła gardziel. A jak basy dudniły cicho, w mojej głowie zaledwie był widoczny ten chłopiec o czarnej skórze.

Przeto w czasie tych wesel, sypiących się jak jabłka z siennego zapola, coraz częściej spotykałem się z chórzystką. I chociaż nigdy, jak te dziewczyny przed nią, nie prosiła mnie, żebym przyszedł do niej w noc poślubną lub w tę częśćkę poślubnej nocy, kiedy na leżące w kącie i basy, i bęben spadają odcięte nożycami warkocze, idąc, po jej szyi, po piersiach, po obnażonych nogach moimi rękami, co chwila spotykałem dłonie tamtego chłopca z wysokiego brzegu. I nie odtrącałem tych dłoni, nie chwytałem go całą garścią za grdykę i nie biłem go pięścią w przechyloną do tyłu twarz. Raczej rozmawiałem z nim jak z rówieśnikiem. I ustępowałem mu. I szeptałem z dziewczyną. I przerzucałem jej warkocze na plecy. I jeszcze strzepywałem z jej sukienki źdźbła trawy, a już odchodziłem z tych łąk, z tego dworskiego brodła, z tego nadrzecznego chłodu w plebański sad i biegłem przez niego z rozdętymi nozdrzami, w rozchełstanej koszuli, witając w nim całym sobą to wszystko, co z niej wchłonęło zwiezione siano i snopki zboża.

Wtedy też, któregoś sierpniowego zmierzchu, odchodząc od chórzystki w sad, poprosiłem ją, żeby ona spróbowała wywołać ze mnie, podobnie jak ja wywołałem z niej na tych czarnych od deszczu łąkach tego chłopca, tę pierwszą dziewczynę, z którą się pocałowałem na błoni pod wierzbami i tę pierwszą kobietę, która zostawiała dla mnie uchylone drzwi od zmierzchu do rana, kiedy jej chłop szedł na parodniowy zarobek do sąsiedniego dworu. Ale czy to chórzystka nie mogła sobie poradzić z tą pierwszą moją dziewczyną i pierwszą kobietą, czy też moje ciało i moja pamięć nie zapamiętały ich tak dokładnie, jak ona tego czarnego chłopca; w każdym razie nie udało mi się ich zobaczyć w sobie. A tęskniłem do nich. I z tej tęsknoty jeszcze bardziej wychudłem. I zdawało mi się, że z tej tęsknoty ptaki w powietrzu zamieniają

się w upierzone grudki ziemi, a woda w rzece kamienieje. Jeszcze trudniej było mi dojrzeć tego chłopca w sobie, który pocałował tę dziewczynkę, i tego już zwężłonego mocno podrostka, uczonego wszelkiej chłopskiej mądrości przez tę leżącą w uchyłonej na noc izbie kobietę.

W to miejsce we mnie, w mojej pamięci, zjawiała się moja matka. Moja matka jako dziewczyna. Wystarczyło mi przymknąć powieki, a szła przede mną z gołą głową, z warkoczem przerzuconym przez plecy, w jednej wyciągniętej ręce niosła jabłko, a w drugiej nóż dobry do przekrojenia tego jabłka i jeszcze lepszy do zarżnięcia koguta na plebański obiad. Ale to jabłko coraz częściej wypadło jej z dłoni, matka się potykała, upadała, leżała długo pad sadem z tym nożem w prawej dłoni wbitym aż po trzonek w ziemię. I tak idącą nieodmiennie z tym jabłkiem i z tym nożem zobaczyłem ją również tego dnia.

Był odpust. Sierpniowy odpust. Ten dziejący się na podkościelnym placu i ten rozkręcający się wyżej na odpustowej karuzeli, i ten najwyższy, odbity w syczącym od żniwnych snopków niebie. Poza tym odpust ten działał się jeszcze wokół. Co chwila wyprowadzał się na piszczalkach, na gwizdkach, na glinianych kogucikach, na rzeniu koni i wrzasku podkościelnych dziadów za wieś, na łąki, nad rzekę. A widząc to wszystko, wiedziałem, co mówi ten odwieczny jąkała, ten sierpniowy odpust, a jeśli nie rozumiałem wszystkiego, pojmowałem resztę z wyrzucanych przed siebie, do nieba i na krzyż dziadowskich ramion, z odsłoniętych do dziąseł końskich zębów i końskich pysków rozwartych w rzeniu, ze strumieni tryskających z odbitych beczek piwa.

Natomiast nie mogłem zrozumieć, co mówi moja matka. Leżała w sadzie. Ale tym razem na wznak. Obok niej leżało jabłko i obok niej iskrzył się noż. Widać też wrzeszczała, bo po chwili na trawniku obok tego pojedynczego jabłka, które wypadło z jej dłoni, pojawiły się inne jabłka, najwidoczniej sypiące się z jabłonek w jej nieustanny krzyk. Jednak nie podnosiła się na kolana, nie próbowała się dźwignąć na łokciach. Ręce jej chodziły koło niej. Zdawało mi się, że rozwiązują z supełków tę wielką sieć zarzuconą w złotą wodę sadu, że próbują nałożyć czepek na mające się dopiero narodzić owocowe szczepy. Ale również tego nie byłem pewny, gdyż jej rozchylone usta, jej ręce chodzące nieustannie koło niej widziałem tylko przelotnie, w dwóch, trzech prześwitach oddzielanych prętami odpustowej karuzeli. Bo akurat jeździłem na odpustowej karuzeli i odpust, i moja matka wyciągnięta nieruchomo w sadzie uciekały co chwila ode mnie na wirującym kole karuzeli.

Dopiero gdy na ganku plebanii zaczął szczekać pies i co chwila wbiegał do sadu i znów wyskakiwał z niego na ganek, i ludzie, najpierw pojedynczo, a później grupkami, zaczęli przeskakiwać przez płot oddzielający sad od podkościelnego placu, karuzela zaczęła utykać, trybik po trybiku, na kieratowym kole i mogłem z niej zeskoczyć. Biegłem przez odpust, roztrącając i ludzi, i kopce owoców ułożonych na słomie i na zgrzebnych

plachtach. Ale zanim dobiegłem do sztachetowego płotu, sad był już obstąpiony przez cisnących się ludzi. Chciałem przesmyknąć się pod ich pazuchami, przejść chyłkiem na bałyku pomiędzy ich nogami, ale ludzie bili mnie po obnażonej głowie i nie dopuszczali do sadu. Wreszcie gdy ktoś stojący przy sztachetowym płocie zdzielił mnie mocniej pięścią w ciemię, upadłem na ubitą ziemię. Próbowałem wstać, podciągając się na rękach wczepionych w czyjaś grubą łydkę, ale strząsany z niej z powrotem padałem na ziemię. Gdy mi się wreszcie udało przyklęknąć, nie mogłem nic dojrzeć przez zarastające wszelki prześwit do sadu i spodnie, i spódnicę.

Wtedy to, klęcząc na tej podkościelnej ziemi, usłyszałem krzyk mojej matki. Jakoż odpust uciszył się dokumentnie. Jedynie spod kościoła dochodził do mnie pacierz klepany pospiesznie przez odpustowego dziada i smuga organowej muzyki zanikającej w słojach kościelnych belek.

A gdy uciszył się podkościelny dziad i organowa muzyka weszła do najcichszego oddechu w słoje kościelnych belek, usłyszałem sygnaturkę i wtórujący jej srebrny dzwonek, jakim prowadzą księdza do konającego. Wrzasnąłem z przerażenia i z bólu, bo ta podobna do dębczaka noga weszła mi na rękę. Wtedy ktoś namacał moją głowę i za czuprynę wyciągnął mnie spod nóg.

Siedziałem teraz na czyimś ramieniu szerokim jak nalepa. Z tego ramienia widziałem, jak przez kościelny plac biegnie w białej komży proboszcz. Przed nim biegł kościelny, potrząsając srebrnym dzwonkiem. Proboszcz wszedł do sadu przez furtkę wychodzącą wprost na zakrystię. Ludzie się rozstąpili. Skorzystałem z tego i zjechałem po ręce z szerokiego ramienia. Stojąc teraz na palcach koło płotu, przed ludźmi, zobaczyłem w sadzie moją matkę. Usta miała pogryzione do krwi. Ręce jej już nie chodziły koło niej, ale były wbite w ziemię. Proboszcz, ten młodziutki proboszcz sprzed kilkunastu lat, stał nad moją matką. Coś mówił do niej, z brewiarza czytał jakąś modlitwę. Matka przymknęła oczy. Zdaje się, że się uśmiechała.

Ktoś stojący poza mną szepnął: - Dziecko się rodzi - Ktoś drugi powtórzył: - Dziecko się rodzi. - I już wszyscy ludzie szeptali: Dziecko się rodzi, dziecko się rodzi, dziecko się rodzi.

I w sadzie zakrzyczał ptak. Tuż po tym ptaku krzyknął cały sad, jakby był draśnięty dziobem przez tego ptaka. I głośno zapłakało dziecko. I zobaczyłem, jak to dziecko, tego krzyżącego ptaka, tę gałązkę sadu jakaś kobieta podnosi w lewej ręce nad głowę, a prawą otwartą dłonią uderza go kilkakrotnie w pośladki. I dziecko jeszcze raz krzyknęło. Tym razem z bólu. I ta kobieta podała to krzyżące stworzenie temu młodziutkiemu proboszczowi. I on je trzymał w dłoniach odsuniętych od siebie. I biał. Coraz bardziej biał. Jak gaszone wapno. I widziałem jeszcze, jak matka podnosi się na łokcie. I szuka wokół siebie tego złotego jabłka, tego noża, który iskrzył się u jej głowy.

6

Jeszcze w jesieni chodziłem z tą chórzystką nad rzekę, gdzie leżały

zgrabione na kopce wiklinowe liście, i za łąki w uchylone dworskie stogi. Ale coraz częściej przesiadywałem z nią na chórze i w kościelnej kruchcie. Bo nad rzeką i w tych uchylonych dworskich stogach musiałem się jeszcze o nią bić z tym czarnym chłopcem i z tym królewiczem podobnym do czarnego chłopca, i z tym całym wojskiem przydymionym od kostek do potylicy.

Natomiast na chórze, w kruchcie, siedziałem przy niej i nie musiałem prawie wyciągać ręki, żeby ona szeptała i wzdychała i razem z nią wzdychały te drewniane i gipsowe święte. Z łatwością też wychodziłem z tego chóru, z tej kruchty pod sad, na łąkę, w zbożowe panny, gdzieśmy się latem schodzili. Tam wystarczyło mi przymknąć powieki, aby ona przyszła do mnie bez tego czarnego chłopca, bez tego czerwcowego dnia i bez tej wody, przez którą uciekała od tego chłopca skaczącego z wysokiego brzegu. I tak ją zostawiałem prawie samą na tym chórze i w tej kruchcie. I chociaż ona, wzdychając i grzejąc sobie ręce pod moimi pazuchami, zapominała o tym chłopcu o czarnej skórze, nie przychodziłem do niej z tego sadu i z tych czerwcowych łąk, i z tego sierpniowego zboża. Bo jeśli tylko próbowałem wrócić do niej z tych łąk i z tego sadu, i z tego sierpniowego zboża, razem ze mną wracał do niej ten chłopiec. I nie pomagały jej dłonie, chodzące od małego palca po kciuk po mojej szyi i po mojej twarzy. A wtedy szeptała, żebym przyszedł na jej wesele, w poślubną noc do przestronnego sadu, do uchylonej komory, do stodoły chodzącej nieustannie na siennych kolankach.

I od miesiąca już się nie spotykam z tą chórzystką. Nie mogę się z nią spotykać. Nawet nie wychodzę w sad, w łąki, w pola nadal dla mnie sierpniowe. Zamiast niej, coraz częściej widuję moją matkę w sadzie, w łąkach, w sierpniowym polu. I widzę tego ptaka, podrywającego się z wrzaskiem z korony sadu, i ten sad krzyczący tuż po ptaku, i to dziecko płaczące w tym sadzie w czasie tego odpustu.

I dzisiaj też widziałem moją matkę w sadzie. Ale w tym o parę lat młodszym sadzie, bez sęków, bez liszajów na korze. W tym sadzie, w którym jeszcze nie krzyknął ptak i nie zapłakało dziecko. Nawet wtedy nie miałem ochoty patrzeć w sad. Jeszcze leżałem w łóżku i było prawie ciemno. Słyszałem, jak moja matka krząta się po kuchni, szykując śniadanie dla dobrodzieja, dla mnie i dla tego starego plebańskiego parobka. Tego dnia mieliśmy jechać w pole zorać ostatni kawałek buraczyska.

I wtedy właśnie, tuż przed tym przebudzeniem i jeszcze kawałtko po przebudzeniu, widziałem sad i tego proboszcza-młodzika stojącego w sadzie. Przed nim stała moja matka. Proboszcz podawał jej jabłko. Ona nie chciała wziąć tego jabłka i chowała ręce za siebie. Ale gdy ten młodziutki proboszcz podszedł jeszcze bliżej do niej, wzięła to jabłko z jego dłoni. I wtedy sad dostał skrzydeł. I na tych skrzydłach zaczął uciekać ode mnie. I razem z sadem uciekali i proboszcz, i moja matka w łąki, nad rzekę, w sierpniowe zboża stojące w złotym polu. Próbowałem krzyknąć, ale zanim otworzyłem usta, nie było już sadu ani mojej matki w tym sadzie, stojącej przed młodziutkim proboszczem z jabłkiem w wyciągniętej dłoni.

Wstałem po cichutku, bo chciałem wyjść na ganek i sprawdzić, czy ten sad rzeczywiście uciekł w łąki, nad rzekę, w pola. Sad był na swoim miejscu. Tyle tylko, że nie ten czerwcowy w deszczu i ten sierpniowy w odpustowych trąbkach, w krzyku ptaka, w krzyku mojej matki, w płaczu dziecka.

Poczerniały, jakby miał zdjętą głowę i razem z tą głową liściastą koronę. I nie zobaczyłem w tym sadzie chórzystki, ani tej sprzed tego spotkania z tym czarnym chłopcem, ani tej z czerwcowej łąki, ani tej, której zapach zwoziłem razem z sianem, z wszelakim zbożem, tym bardziej nie było w sadzie tej dziewczyny całowanej pod jesień w dworskim stogu, w liściach zgrabionych nad rzeką, prowadzanej na chór i do kruchty. Nie widziałem też w tym sadzie mojej matki trzymającej jabłko w dłoni ani tej matki z tym chłopczykiem prowadzonym za rękę, również nie było w sadzie tej mojej starej matki, gotującej teraz śniadanie dla dobrodzieja, dla mnie i dla plebańskiego parobka.

I zszedłem ostrożnie z ganku, i zacząłem biec po wysypanej białym piaskiem kościelnej ścieżce. Wtedy zdawało mi się, że w sadzie mignął mi cień proboszcza z tego odpustowego dnia, trzymającego w rękach odsuniętych od siebie to płaczące dziecko. I jeszcze zobaczyłem leżący na ziemi czy też w trawie iskrzący się nóż. I biegnąc koło plebanii usłyszałem krzyżącego przez sen tego starego proboszcza, wywołującego pod sad moją matkę. Ale już nie chciało mi się rzucać w jego kościółek i w niego klęczącego przed ołtarzem jabłkami, zdejmować go w czasie burzy z kościelnego dachu, pędzić go przez ziemię podobną do czołgającego się jaszczura i prażyć w oleju.

W pamięci i w sobie zobaczyłem plebańskiego konia, poczułem w łokciach jego twarde potrząsanie łbem, w kostkach nóg uczułem jego kute z ciągliwego żelaza pęciny. I zachciało mi się na tym koniu odjechać od tej chórzystki, już oddalonej ode mnie poza sad, za rzekę, za pola, i od mojej matki, uciekającej razem z młodziutkim proboszczem na skrzydlatym sadzie, i od tego proboszcza, jeszcze stojącego w sadzie z tym dzieckiem w odsuniętych od siebie dłoniach.

Przeto zamiast do stajni wszedłem do sadu. I z jabłonkowej dziupli wybrałem te pięć srebrnych dziesiątek i wsypałem je jedna po drugiej, ogrzewając je uprzednio w dłoniach, do kieszeni. Z sadu wyszedłem za plebańskie stodoły, gdzie stały dwa stogi słomy po wymłóconym zbożu. Wyciągałem ze stogu snopek po snopku, naręcze po naręczu słomę. Gdy dokopałem się do środka stogu i jama powiększyła się na tyle, że mógł swobodnie zmieścić się w niej ten najpiękniejszy plebański koń, poszedłem do stajni i najciszej jak mogłem, żeby nie zbudzić pochrapującego parobka, wyprowadziłem bułanka na pole. Przez całą drogę za dworską stodołę podtykałem mu pod zęby wzięte z kosza kolby kukurydzy, żeby tylko nie prychał i nie rżał. Koń początkowo nie chciał wejść do stogu, potrząsał łbem i brykał. Ale gdy wszedłem pierwszy do wykopanej w stogu jamy i wysunąłem stamtąd rękę z kolbą kukurydzy, wszedł za mną. Ostrożnie, głaszcząc go

przez cały czas po cienkiej jak pergamin skórze, wysunąłem się obok niego ze stogu. I zarzucając konia snopkami słomy, tak że po chwili ze stogu dochodziło do mnie rzenie jak przez sen czy też przez wodę, otarłem spoconą twarz wiechciem zmiętoszonej słomy i powolutku począłem odchodzić w stronę kościółka.

Teraz byłem pewny, że na tym najpiękniejszym w okolicy koniu, paradnie, jeszcze tej nocy, odjadę do najbliższego miasteczka, przez które przechodzi kolejowy trakt. W tym miasteczku przepiję w karczmie jedną srebrną dziesiątkę, a za pozostałe wykupię bilet i odjadę na Saksy, a stamtąd, po wypłacie, wybiorę się do Ameryki. Dla konia kupię cały pęk kolorowych wstążek i wór owsa i ubiorę jego łeb w te wstążki, i wsadzę mu ten wór z owsem, i zostawię go przywiązanego do jednego z kółek w cementowanych w stacyjny budynek. Ludzie na pewno odprowadzą konia proboszczowi.

Przedtem jednak, zanim się to stanie, chciałem wejść na kościelną wieżę i do nocy rozglądać się po okolicy, a zwłaszcza po tym sadzie, żeby się upewnić, iż nie ma w nim ani chórzystki, ani mojej matki, ani tego cienia młodziutkiego proboszcza.

Wszedłem do kościółka. Zapachniało pogaszonymi świecami i butwiejącym drewnem, i wieńcami splecionymi z ziela. Dostałem się na chór. Tu sobie przypomniałem, że dziś rano proboszcz ma odprawić dziękczynną mszę za tę bogatą wieś, a raczej za świece ofiarowane przez nią kościołowi. Msza miała być śpiewana. Przeto zbiegłem do kruchty, a raczej nie ja, ale ten chłopiec rzucający jabłkami do kościółka, skąd z drewnianej skrzyni wziąłem pełne naręcze kościelnych świec i przyniosłem je na chór. Wszystkie świece powtykałem w organowe piszczałki i zapaliłem je. Gdy po pewnym czasie nacisnąłem organowe klawisze, piszczałki milczały.

Z chóru wszedłem na kościelną wieżę. Stąd przez kwadratowe okienka bez szyb mogłem widzieć całą okolicę i moją wieś, a zwłaszcza sad i plebanię. Akurat zaczął prószyć pierwszy tego roku śnieg. Początkowo były to pojedyncze płatki, ale już po chwili, najpierw nad rzekę, później nad łąki, wreszcie w sad, weszła śnieżycy. I nic już nie widziałem w tej śnieżycy. Ani okolicy, ani wsi, ani nawet pobliskich łąk, sadu i plebanii.

Dopiero gdy śnieżycy się uspokoiła i niebo prószyło tylko pojedynczymi płatkami, zobaczyłem wszystko z powrotem. I rzekę, i łąki, i sad, i tuż obok sadu murowaną plebanię, a po drugiej stronie wieży naszą wieś leżącą w tym wielkim odwróconym dzwonie. Przymknąłem powieki. Chciałem zobaczyć w tym sadzie ocalanym we mnie chórzystkę, moją matkę i proboszcza. Ale ich tam również nie było. Nie było ich tym bardziej w tym sadzie, który zobaczyłem z kościelnej wieży po otwarciu oczu. Wszędzie było równiutko zasłane lnianym płótnem.

Tym bardziej mnie, zdziwiło, gdy wychylając się z okienka, zobaczyłem, że od kościelnych schodów do plebańskiego ganku jest wydeptana w śniegu ścieżka. Początkowo nie mogłem się zorientować, kto tę ścieżkę w tak krótkim czasie wydeptał. Na pewno nie były to ślady ludzkich stóp. Ale

dopiero po chwili zobaczyłem, jak z plebanii gęsiego, jednia po drugiej, wychodzą kozy. Wszystkie były o białej sierści. Tak że trudno je było spostrzec na śniegu i to z takiej wysokości. Dreptały po śniegu w milczeniu.

Wtedy przypomniałem sobie, że właśnie dzisiaj, za plebanią, nad wykopanym do siwego iltu dołem miano pozarzynać te białe kozy poświęcanym nożem toczonym z damasceńskiej stali. Kozy zbliżały się do kościółka. Gdy mi zniknęły z oczu, zobaczyłem, jak po ubitej przez nie ścieżce kuśtyka nie większy od karzełkowatego garbusa ten ni to Bóg, ni to ciosany kamień. Cały był złocony. I ten złocony garbaty kamień wszedł na plebański ganek. Po chwili usłyszałem, jak ten karzełkowaty kamień wali kamiennymi pięściami w plebańskie drzwi.

Skrzypnęły nie naoliwione zawiasy. Na progu, w króliczych bamboszach na gołych stopach, w szlafroku przewiązanym jedwabnym sznurem, zjawił się proboszcz. Cofnął się widząc kościelny plac zasypany równusieńko śniegiem. Ale po chwili wyszedł na kościelny plac, mając na ramiona zarzucone bobrowe futro. Zwinął dłonie w trąbki i zaczął przez nie wołać:

- Jakubku! Jakubku! Kozy już są!

Równocześnie usłyszałem, jak parobek w stajni ostrzy na brusku poświęcany nóż toczony z damasceńskiej stali.

Nie poruszyłem się. Nie poruszył się również zimowy sad. Gdy parobek przestał ostrzyć nóż na brusku, na powrót było cichutko. Jedynie za plebańskimi stodołami, ze stogu teraz zasypanego śniegiem, dochodziło przypominające brzęczenie komara rzenie. Przez drewniany strop, oddzielający chór od kościelnej wieży, słyszałem, jak z zapalonych świec w organowe piszczałki kapie stearyna.

[Spis treści](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)
